

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ. 24 lipca 1960 r.

Nr 29 (125)

Cena 1 zł

ZBIGNIEW CHYLŃSKI

## „OD MESJASZA DO DOROBKIEWICZA“

Przez ostatnie tysiąc lat w Polsce, z okazji wszelkiego rodzaju rocznic albo i bez, wyspiewywano jakąś Wielką Ideę, stanowiącą polski wyróżnik spośród wszystkich innych narodów. Zawsze mieliśmy za pazuchą jakąś taką Misję, którą pragnęliśmy uszczęśliwić świat.

Polska była kolejno „krzewicielem chrześcijaństwa”, „przedmurzem chrześcijaństwa”, „Chrystusem narodów”. Potem mocarstwem, a już kolonialnym w szczególności, buforem „antybolsewickim”, wodzem „środkowo-europejskiej gigant-federacji”, paznokciem, który zgniecie hitleryzm zachowując wszystkie guziki, reprezentacyjnym męczennikiem od krwawienia na całej kuli ziemskiej, wreszcie reformatorem i Atenami Wschodu.

Jakże to miło, że po tysiącleciu Wielkiej Misji Uszczęśliwienia Świata i wyjątkowości, ustaliliśmy się, bez misji i idei szczególnej i Polskę spośród innych wyróżniającą. Bowiem w wszystkich tych naszych wyjątkowości i euforii pozostało li tylko trochę swądu, trochę śmiechu, dużo za to dziur i guzów.

Miałeś idee mirażowych i historycznych reprezentujemy dziś wspólnictwo do idei socjalizmu, bezpiecznej i wypróbowanej, spokojnie zwyciężającej w rewolucyjnych i ewolucyjnych dokonaniach. Idee nie tylko polskiej, lecz międzynarodowej, uniwersalnej, zgodnej z ogólną tendencją rozwoju historycznego świata. Pozytywnie monopolistę w idiotyzmach wiodących do bankructwa zamieniliśmy na rolę współnika w „dobrym interesie”. A czas był po temu najwyższy. Historia zawsze tknęła po pupie Don Kichotów i maniaków, a już ta najnowsza szczególnie zagłębia sobie na nich parol.

U schyłku dziesięciu lat naszych dziejów przestaliśmy być rozbrzykanym lub tragicznym młokosem i statkowaliśmy się w tempie przy śpiesznym, odrabiając narosłe zapóźnienia. Naszą dojrzałość ukształtowało minione szesnastolecie. Proces ten odbył się nie bez konfliktów i nie bez tego, żeby wilka od czasu do czasu nie pociągnęło do lasu. Dojrzywaniu jabłuszka sprzyjał fakt, iż wesoło ono z epoki minionych te soki, które były antytraktackie, realistyczne i nowatorskie, słowem — postępowe.

Owo szesnastolecie nie było spokojne pod żadnym względem. Wspomnijmy chociażby, że nasz śpieszny awans ekonomiczny przez długie lata odbywał się szturmowymi zrywami industrializacji i depresyjami okresów rozmaitych trudności. Był nerwowo i eksperymentatorski. Ale mieliśmy świadomość ogólnego sensu i koncepcji przewodniej tego, co

się dzieje. I to w sumie okazało się najważniejsze. Tysiąclecie państwowości i szesnastolecie socjalizmu zamykamy mając zasadne poczucie stabilizacji, pewności jutra, ewolucji ku coraz lepszemu. Pewni jesteśmy nie tylko tego postępu. Bośmy z razem spokojni, że nie będą mu towarzyszyć: wielka nerwowość, gwałtowne skoki, historyczne psikusy i wszelka żywiołowość. Przynajmniej póki pokoju.

Przestaly ciężać na polityce Polski mity przeszłości. Nie ciążyą też mity przyszłości: o zaspokojeniu idealnym, pełnym i szybkim, które spadnie z nieba. Przebrzmiały kultury ustępują miejsca kultuwi pracy i gospodarności, temu jedynemu współcześnie sensownemu. Jego poród nie jest szybki, ani bezbolesny. Ale przebiega.

Zyskaliśmy świadomość, że doskonałej ludzkiej wolności, pozytywnego kształtu stosunków międzyludzkich i zaspokojenia innych marzeń społecznych nie stworzy żadna wydumana idea. Ze są one fantazją dobrobytu i stałbiwości, będących naszą perspektywą a realizowanych w zgodzie z koncepcjami socjalizmu.

Jeśliby ktoś mniemał, że zaspokojenie w tych rejonach życia narodu jest zapóźnione, wskażę mu na jeden fakt wyrwany z kontekstu naszej współczesności a niezwykle znamienne: w Polsce dziś po raz pierwszy od lat tysiąca ułki nie jest więziony z powodu swych przekonań politycznych.

Tego ewenementu nie zna leżę ani w różnych przeszłych polskich demokracjach, ani we współczesnych nam na tym świecie, tych, które wciąż po trosze pewnie części Polaków imponują.

Duszycki subtelne a mieszkające w mózgach niewiele pojmujących i ogarniających denerwuje bardzo to, że stajemy się dorobkiewiczem w skali społecznej i jednostkowej. Słowo to ma u nas dotąd sens pejoratywny. Myślę, że w warunkach socjalizmu można mu ująć ujemne zabarwienie uczuciowe. Powinno nas cieszyć pozytywne nasze dorobkiewiczostwo.

Jeśli w hasłach wypisywanych na oficjalnych sztafardach, a mających wykreślać generalne tendencje historyczne różnych epok naszego tysiąclecia coś było dobre, to raczej w myśl przysłowia, że „wszystko dobre, co się dobrze kończy”. O końcu nie ma oczywiście mowy. Rozumiemy go jako dojrzałość. Burzliwy, sensacyjny i krwawy romans, który można by napisać o naszym tysiącleciu prosz się o tytuł „Od Mesjasza do Dorobkiewicza”. Wezła do niego tytuł... do zadolenia. Gorzej by było, gdyby akcja tego romansu rozgrywała się w odwrotnej kolejności.



Fot. Z. Kosycarz

## 565 miliardów złotych przeznaczymy w nadchodzącej pięcioletce na inwestycje. To ogromna suma, prawie tyle, ile wydatkowaliśmy na te cele w minionym dziesięcioleciu

Nieco inny jednak, niż dotąd, jest jej podział, bowiem — w odróżnieniu do lat ubiegłych — najwięcej wydamy na inwestycje produkcyjne, to znaczy takie, które po okresie amortyzacji, dadzą szybko efekty ekonomiczne.

W Łodzi i na Ziemi Łódzkiej wybudujemy nowe obiekty i rozbudujemy istniejące za kilkadziesiąt miliardów złotych. Jak te inwestycje? Nie sposób wymienić wszystkich. Omówimy więc tylko największe, najważniejsze. Zrobimy to zresztą w sposób dość niespodziewany.

Zapraszamy Was na małą wycieczkę krajoznawczą. Wyobraźcie sobie, że jest w tej chwili lipiec 1966 roku. Siedząc w wygodnych autokarach, z bedekerem Łodzi i Ziemi Łódzkiej w ręku, rozpoczynamy rajd po wielkich inwestycjach ostatniego planu pięcioletniego. Odjeżdżamy!

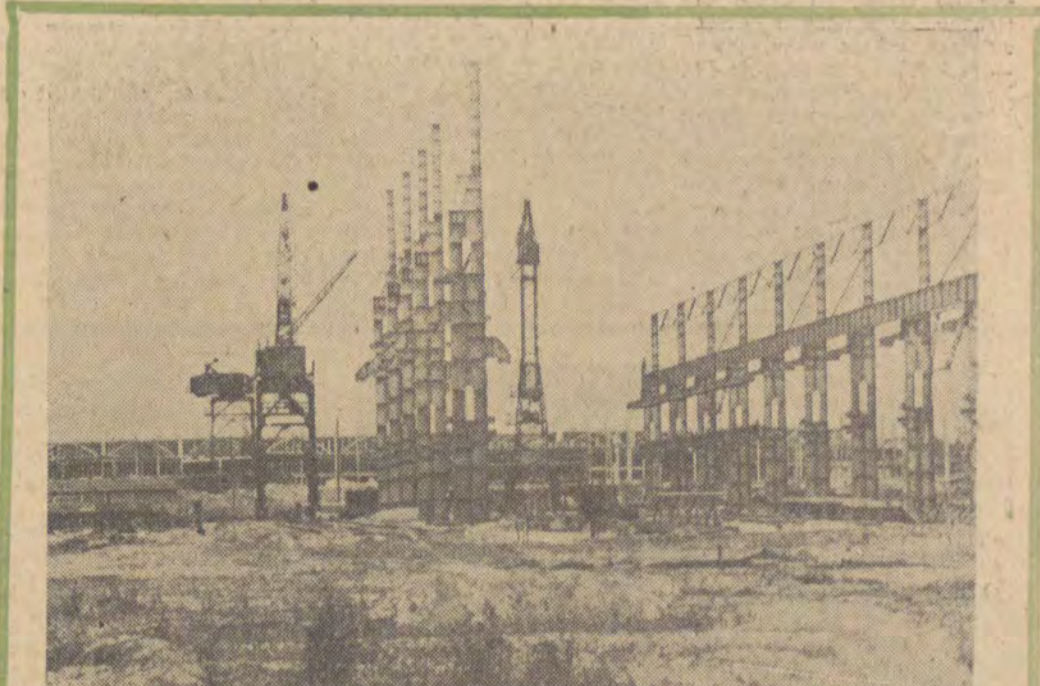
### Szarpania szmat

Jesteśmy w rejonie tzw. Dąbrowy Przemysłowej. Centralne miejsce zajmuje tu potężny kombinat, o kubaturze 180 tys. m<sup>3</sup>, mieszczący szarpanię szmat przemysłu wełnianego. Jedyńy tego rodzaju obiekt w kraju, koszt budowy wyniósł sto milionów złotych! Szarpania pracuje na pełnym rozruchu już od 31 grudnia 1963 r. a 1200 osobowa załoga produkuje rocznie 7,5 tysiąca ton szarpanki. Pełna amortyzacja zakładu nastąpi za 4,5 roku.

Czy inwestycja ta była celowa? Posłuchajcie: na nowoczesnych maszynach produkuje się tu długie włókna ze starych, zużytych szmat wełnianych, które jako tzw. wełna ponowna (w światowym przerobie wełny wogóle 1/3 stanowi wełna ponowna!) są znakomitą domieszką do wełny żywej i włókien sztucznych.

Dzięki tej inwestycji ograniczyliśmy import wełny, szmat wełnianych i barwników na sumę 713 tysięcy dolarów rocznie!

W budynku obok mieści się oddział włókniny, w



### Zakłady Wytwórcze Transformatorów i Aparatury Dźwigowo-Trakcyjnej w Teofilowie pod Łodzią

Oto metryczka przedsiębiorstwa. Całkowity koszt budowy — 450 mln. złotych, zatrudnienie — 4 tysiące osób. Wartość produkcji w chwili uruchomienia — 1.450 tys. złotych, obecnie (tak, tak, to nie omyłka) — 800 milionów złotych rocznie. Zakład zamortyzuje się całkowicie za sześć lat.

Efekty ekonomiczne? Proszę bardzo. W tej chwili ograniczyliśmy import maszyn i urządzeń na sumę 2 milionów dolarów rocznie, eksportując jednocześnie podobne maszyny i urządzenia za 4 mln. dolarów. Ponadto, dzięki nowoczesnym urządzeniom i wysokiej technologii, zakład oszczędza rocznie 150 tysięcy ton węgla.

I jeszcze ciekawostka. W momencie rozruchu, w 1960 r., zakontraktowano całą produkcję aż do roku 1964 m. in. do Indii, Turcji, i Brazylii za sumę 1.600 tysięcy dolarów.

Dalszy ciąg na str. 3



„Prześwietna księżno, znakomita a nam wielce miła Matłonko nasza — pisał król Jagiełło z pola bitwy po zwycięstwie odniesionym nad Zakonem — „Tedy we wtorek w święto Rozestania Apostołów, mistrz krzyżacki z całą swoją potęgą do wojsk naszych się zbliżył, walkę z nami pragnąc rozpocząć, gdy my właśnie słuchaliśmy mszy świętej Tej do końca pobożnie wystuchaliśmy z całym wojskiem naszym, na pole bitwy weszliśmy, gdzie szyki sprawniejszy i rozmieściwszy, jeliśmy sposobie się do boju. Kiedy zaś jedni na drugich spojrzeliśmy, mistrz krzyżacki i marszałek przez swych heroldów nam i prześwietnemu księżcu panu Witoldowi, bratu naszemu najdroższemu, dwa miecze się ze słowami: „Wiedziecie królu i Witoldzie, że tej godziny bitwę z wami stoczymy, te zaś miecze nam ku pomocy w darze ofiarowujemy. Pozwólcie więc nam wybrać to własnie miejsce na bitwę albo też sami wybierzcie”.

Na co odrzekłszy łagodnie: „Mieczy któreście nam przysłali, przyjmujemy i w imię Chrystusa, co karki pysznych zgina, walczyć z wami będziemy, lecz miejsca walki wskazać wam ani nie umiemy, ani nie chcemy...” Zaczyn bez zwłoki wojska, jako się rzekło, mając już uszykowane, rozpoczęliśmy bój, w którym wśród niezliczonych ubitych, sami zaś bardzo nieznacznie mając straty, pomienionych wielkiego mistrza i marszałka, Schwartzburga i Elbląskiego i wielu innych komturów krzyżackich usieklismy innych do ucieczki zmuśliśmy i we własnej osobie ścigać zaczęli...”

Oto najkrótsza i chyba najwierniejsza, bo spod pióra Jagiełły pochodząca, relacja o zwycięstwie Grunwaldzkim. Znamy tego króla z kart sporządzonych przez historyków, ze stron literackich opisów, z malarzkich wizji. Rysuje się nam ta sylwetka — raz, jako szczerwanego przebiegłego, lecz w gruncie rzeczy dość prymitywnego barbarzyńcy, innym razem — jako bigota, który z gorliwością neofity, święte nawróconego poganina, gdy Witold sposobił wojska do walki, on drząc ze strachu wysłuchiwał mszy z mszą. Innym znów razem — przedstawiono nam go jako ko wielkiego stratega, ewm kunsztem wojskowym przewyższającego krzyżackich mistrzów wojny. Naprawdę zaś nie był chyba ani jednym, ani drugim, ani trzecim, lub odwrótnie — było w nim coś z każdej z narysowanych sylwetek.

Nie można go nazwać barbarzyńcą — to pewne. Nie był bigotem, choć odznaczał się gorącą wiarą. Słuchał mszy za mszą nie dlatego, aby przełamać technostwo, lecz aby powstrzymać wojska przedwczesnym i mogącym przynieść klęskę atakiem... Analiza bitwy dokonana przez współczesnych strategów dowodzi, że chyba odznaczał się wielkim kunsztem wojskowym, choć w czasie bitwy powstały groźne sytuacje, których nie przewidział ani on, ani jego rada wojenna.

Ale kim by nie był ów Jagiełło — barbarzyńca, bigotem czy geniuszem wojskowym — do zwycięstwa grunwaldzkiego by nie doszło, gdyby nie zjednoczenie się słowiańszczyzny, którego widownią stało się pole grunwaldzkie, gdyby nie ogromny udział mas ludowych, walczących z germańską nawałą, Henryk Sienkiewicz, któremu przy okazji grunwaldzkiego jubileuszu nie oszczędzono złośliwych szpileczek za błędy popełnione w „Krzyżakach” — w tym wypadku okazał niezwykłą intuicję. Wbrew współczesnym sobie historykom, dostrzegającym w grunwaldzkich zmaganiach tylko rycerstwo i szlachtę, wprowadził on na swe karty chłopską piechotę i kazał jej odegrać niezwykle ważną rolę. Nasze badania potwierdziły poważny udział chłopskiej piechoty polskiej i litewskiej. Chłopi zdobywali obóz krzyżacki i oni też brali udział w otoczeniu i likwidacji 16 chorągwi dowodzonych przez Wielkiego Mistrza. Z rak chłopskich zresztą polegał Ulryk von Jungingen. Te Sienkiewiczowskie intuicje podkreśla wielki krytyk pisarza i wybitny znawca spraw „grunwaldzkich”, historyk prof. Stefan Kuczyński.

Na początku XV wieku w Europie wschodniej nie było potęgi, która potrafiłaby się oprzeć krzyżackiej, wspieranej organizacji wojskowej. Potęgą zdolną rozbić państwo krzyżackie nie była tak że i ówczesna Polska — to trzeba sobie powiedzieć otwarcie przy okazji grunwaldzkiego jubileuszu. Jeśli jednak doszło do rozbitcia Krzyżaków i do zwycięstwa nad nimi, zadecydowały o tym wypadki na długo poprzedzające rok 1410. Pamiętają o tym stare kroniki, jak choćby „Kronika miasta Elbląga”:

„Była wielka bitwa między panem królem Polski i księciem Witoldem oraz ich sojusznikami z jednej stro-

ny, a naszym panem wielkim mistrzem i jego starszym z drugiej strony”.

W 1410 roku, w bitwie z Krzyżakami, Polska nie pozostała sama. Stała przy niej Litwa i sojusznicy słowiańscy. Poprzednie krzyżackie zwycięstwa nie byłyby możliwe, gdyby nie ówczesne rozbitcie i skłócenie na Litwie, w Polsce i na Rusi. Dość powiedzieć, że w okresie rządów ks. Olgierda Litwa ustępując pod nawałą krzyżacka rekompensowała sobie straty, rozciągając swoje wpływy na Rusi, na Smoleńszczyźnie, Siewierzu, Czernichowie, Podolu i Kijowie, „Połączenie Polski

## ZBIGNIEW NIENACKI

# Dwa miecze

z Litwą — pisał M. Siuchniński w swym szkicu historycznym odtwarzającym wspaniały tom „Grunwald 550 lat chwaly” — zadalo śmiertelny cios planom zaborem Zakonu Krzyżackiego. Krzyżacy przejęli ten fakt jako katastrofę polityczną”. W kilkanaście lat później nastąpiła ich katastrofa militarna.

Kto szuka w historii lekcji i mądrych nauk — niech wyciąga wnioski. Kto szuka w historii analogii współczesnych, i w zdarzeniach 1945 roku widzi powtórzenie się Grunwaldu — niech pamięta, że drugi Grunwald był możliwy także dzięki zjednoczeniu się krajów słowiańskich, sojuszem i przymierzem.

Wiele czynników sprawiło, że bitwa grunwaldzka, która rozbiła potęgę Zakonu Krzyżackiego, nie do końca skruszyła jednak ich siłę. Zwycięstwo odniesione w grunwaldzkiej bitwie nie w pełni zostało wykorzystane. Panowie polscy nie kwapili się do zdobywania krzyżackich twierdz. Przede wszystkim jednak skutki grun-

waldzkiego zwycięstwa starał się osłabić Kościół Rzymski. Na słynnym soborze w Konstancji ogłoszono o Polsce oszczerstwa, które nie spotkały się ze zdecydowaną odprawą Papieża Marcina V, nie nastąpiło rozstrzygnięcie sporów polsko-krzyżackich. Rzym za wszelką cenę starał się uchronić potęgę zakonu, aby wykorzystać ją do walki z ruchem husyckim w Czechach.

Z tej lekcji historycznej również warto wyciągnąć wniosek. Kto szuka analogii historycznych w świecie współczesnym — ten podobną troskę o odrodzenie teutońskiej mocy odnajdzie w

polityce Watykanu wobec adenauerowskich Niemiec.

Grunwald obrósł już legendą, stał się częścią mitologii polskiej. A w każdym mieście prawdą historyczną sasiaduje z fantazją, z wyobraźnią. Przy okazji grunwaldzkiego jubileuszu unaczyniono ludziom wiele mitologicznych stron „Grunwaldu”, rozprawiono się z naiwnościami, sprostowano wiele fałszywych poglądów i relacji faktów historycznych. Legendy są piękne i warto, aby towarzyszyły nam w życiu pod warunkiem, że nie zastępują one prawdy historycznej. Piękna i ciekawa, wydana niedawno, książka Jana Kopcewskiego i Mateusza Siuchnińskiego „GRUNWALD 550 lat chwaly” jest najdoskonalszym przewodnikiem poprzez krainę faktów historycznych i wartościów zdaren legendarnych. Uczy, co było w bitwie grunwaldzkiej prawdą, a co stało się legendą, lecz jednocześnie nie każe gardzić legendą. Bowiem „Grunwald” stał się

symbolem i to nie tylko dla nas. Jest on symbolem i dla naszych przeciwników, dla tych, którzy gotowi są wskrzeszać tradycje teutońskiej ekspansji.

Jeśli mówimy: „nie zapomnijmy Grunwaldu”, to słowa te powtarzają również nasi wrogowie. Oni także nie mogą i nie chcą zapomnieć Grunwaldu. W 504 lata po bitwie grunwaldzkiej Hindenburg spróbował na grunwaldzkich polach wziąć odwet za dawną klęskę krzyżacką. „Rosyjskim generalom Rennenkampfi i Samsonowowi — jak pisał Wańkiewicz — zabrakło opowiadania Jagiełły. Uderzyli, gdy ulekiły się za nimi zmęczone skwarem i wielodziennej marszem, pozbawione taborów, niekompletne wojska. Poległo 12 tys. Niemców, gdy Rosjan aż czterdzieści tysięcy”. Ale to była Rosja carska, pozbawiona sojuszników, szarpana ogromnymi sprzecznościami wewnętrznymi, w przedniu Rewolucji. Hindenburg zbudował potem pod Stęborkiem ogromny pomnik-mauzoleum, który — jak sądził — przetrwa wraz z sądoletnim panowaniem Rzeszy niemieckiej na Warmii i Mazurach. Nie przewidział, iż niewiele minie lat, a grunwaldzkie pola będą świadkami nowego „wycięstwa słowiańszczyzny, stanie tu pomnik naszej chwały.

Tradycje grunwaldzkie nie są tylko naszym przywilejem. To nie przypadek sprawil, że kanclerz Adenauer przydzielił się w płaszcz krzyżacki. Są siły na Zachodzie, które myślą o nowym odwiecie, dla których sojusz państw Europy wschodniej jest tak, jak dla Krzyżaków — klęską polityczną. I znów — podobnie jak kiedyś — jesteśmy świadkami ich prowokacji. Przydzielali się w płaszcz krzyżackie, czy zechcą również przysłać miecze?

Interesującej lektury dostarcza praca Kopcewskiego i Siuchnińskiego, Książka ta — wydaje się — godzi zwaśnione obozy, biorące się za by w związku z obrazem Jana Matejki. Dla jednego obraz ten to tylko „Największe płótno”, dla innych wyraz wielkiego geniuszu malarza. Przy okazji grunwaldzkiego jubileuszu wytyka się Matejce nieścisłości historyczne i kostiumowe, a nawet rzeczowe.

Bo to przecież prawda, że „na obrazie Matejki na przykład, Książce Witold, zdaje nie mieć pojęcia o konnej jeździe nie widzi, co się dzieje wokół niego, nie



dostreza wielkiego mistrza, a sam na wspinającym się koniu wypuścić wszystkie ulegi z ręki, leci gdzieś w dal przed siebie jak zaślepieniec. A wiadomo, że nie trzymamy za cugle koń, zwłaszcza w skoku, niechybnie musi paść, zaś lekkomyślny jeździec, trzymający w ręku miecz i tarczę — z konia zleci”.

Ale z drugiej strony — tenże Witold, to jakbyby „personifikacja Boga Wojny... postać tak pogłębiła w wyrazie że urasta do znaczenia wiecznego symbolu, postać jakiej nie spotykamy w analogicznych obrazach, nigdy i nigdzie, od Leonarda i Rubensa aż do Delacroix i batalistów francuskich XIX wieku” — pisze w obronie Grunwaldu M. Treter.

Jest w książce Kopcewskiego i Siuchnińskiego list Jana Husa do Jagiełły o zwycięstwie grunwaldzkim, a w liście tym zdanie:

„Gdzie są tedy owe dwa miecze nieprzyjaciół? Zaprawdę, tymi samymi zostali obalen, którymi przestraszyli chcieli pokornego?”

I jest w książce ten fragment pięknego eseju Wańkiewicza, który kończy się takimi zdaniem:

„Był górą Winrych von Kniprode, a potem Bóg dał zwycięstwo Jagiełły”.

Był górą Wielki Kurfurst, gdy Polskę ze Szwedami zwojował, przeciw hetman Gosiewskiemu start.

Był górą Hindenburg, a przecież jego zwycięstwo uwięzyło zmartwychwstanie Polski...

„26 stycznia 1945 roku Niemcy zostali wtłoczeni do Baltyku Legt pomnik buty w prawde. Gdzie są miecze? Gdzie są miecze? Zaprawdę, tymi samymi zostali obalen, którymi przestraszyli chcieli pokornego.

\*) Wszystkie cytaty w tym artykule pochodzą z książki: „Grunwald 550 lat chwaly” — J. Kopcewski i M. Siuchniński str. 390, PZWS 1960 r.



**pocztówka**  
**Z AUTO-STOPU**  
nad:  
**Robert Gluth**

A więc — Rzeczpospolita podzieliła się na kilkadziesiąt tysięcy tych, co jeżdżą i stoją na szosach z zieloną książeczką w ręku, na dobre „dwa razy tyle” — tych, którzy dyskutują... A reszta — oczywiście obojętna.

Toczy się także ogólnarodowa dyskusja, o „szkodliwości”, dobrych stronach, o „naprawie” autostopu... O czym, pełen szacunku, donoszę Panu Redaktorowi.

Co ponadto? Chyba — ko-

munikat meteorologiczny: Po goda piękna — gdy się jedzie i „pod psem” gdy trzeba czekać litosciwego serca na czterech kółkach.

Poza tym — Panie Redaktorze — zjawiska socjologiczne, lingwistyczne i inne rozliczne. No bo weźmy na przykład te neologizmy językowe — te „kółka” właśnie, „ciężarówców”, „fajnych facetów” itp. Oczywiście „fajni facetci” byli zawsze — ale na autostopie jest ich coraz więcej, odkrywa się do prostu takie fajno-facetowe kopalnie.

Na przykład taki jeden w skórze, z małego jak ptaszek dziewczuska przy boku: — Co sobicie?  
— No cóż, jeździmy, zatrzy-

mujemy się, ustawiamy zboże w mende, gdy małej trzeba mleka...  
— A Andrzej pisze także wiersze — dodaje mała, 18-letnia czarunka.  
Poza tym, Panie Redaktorze, są życiorysy, życiorysy drapieżne. Jeśli Pan nie ma nic przeciwko temu to przytoczę jeden — a będę się streczczać, bo jak się rzekło, ma to być pocztówka. Jeśli wyjdzie coś dłuższego, to proszę mnie nie winić. Historia fascynująca i „na medal” — jak powiada moje autostopowe bractwo.

Dla wyjaśnienia — szofer, o którym piszę, miał mnie podwieźć tylko do Koszalinu. Ze los sprawił inaczej — i przewędrowaliśmy kawał województwa — to już moja wina, a jego dobra wola.

**ZIEMIA PÓLNOČNA**  
Facetti tutaj mają szerokie, opalone gęby i mówią „fajne, jo” — kiedy im się coś podoba. Mówią także „klawaszosa”, kiedy jedzie się dobrze po szosie. A jak kurz im fest dokuczy, to wsadzają paluch do nosa i kopią w tym nochału — bo nie bawiają w żadne ceregiele, tylko powietrza potrzebują a powietrze pachnie. Z kim po przestajesz, takim się sta-

jesz. Fajno przestawać z tutejszymi facetami.  
O piątej nad ranem wjechaliśmy na Ziemię Północną. Już zdążyłem przywyknąć do szoferki i chrapania motoru — ale stara tęsknota była widać silniejsza niż sen, bo zbudziłem się nagle, gdy wjeżdżaliśmy na tę ziemię.  
— To już tutaj, szefie — powiadam.  
— Co? — przekrzykuje grubas chrapanie motoru.  
— Tutaj — wrzeszczę — blisko domu.  
— Aha, w domu. A klawaszosa, co?  
— Pewnie, że klawas — wyję radośnie i patrzę jak w zleję od zmęczenia, czerwonej gębie grubasa, zapalają się pocziwe oczka.  
— Widzisz, rosół psiajegomać — wygraża grubas pięścią za uciekającą kurą — lezie, psiakrewn i eklej tego nie można, nie?  
— No! — odpowiadam, jest mi wesoło, że grubas taki zreczny.  
— Ze co? — wyje szef.  
— Ze rosół psiajegomać.  
— Ano przytakuje grubas.  
Kury tutaj są leniwe i odważne. Idą przed siebie, oddalają się od domów, ale potem wracają; chyba, że je coś zagryzie,

Piastówna pogania byki — dwa ponure byki. Stają bestie po bokach szosy i ziewają na auto.  
Grubas wychyla się z szoferki, gwizdzie przeraźliwie — a potem pięść zaciska, łapę zgina i pcha tę łapę w powietrze, ruchem wahadkowym. Tak mijamy piastównę — pierwszą spotkaną — w głuchym warkocie motoru, z rozpasaniem mlaskaniem szefa.  
— Fest babka, ho ho, ho! — huczy grubas jak wiatr.  
— W deche, he, he — wótruje jak oblesny skowronek.  
A piastówna zostaje w ty-



(Dokończenie na str. 4)



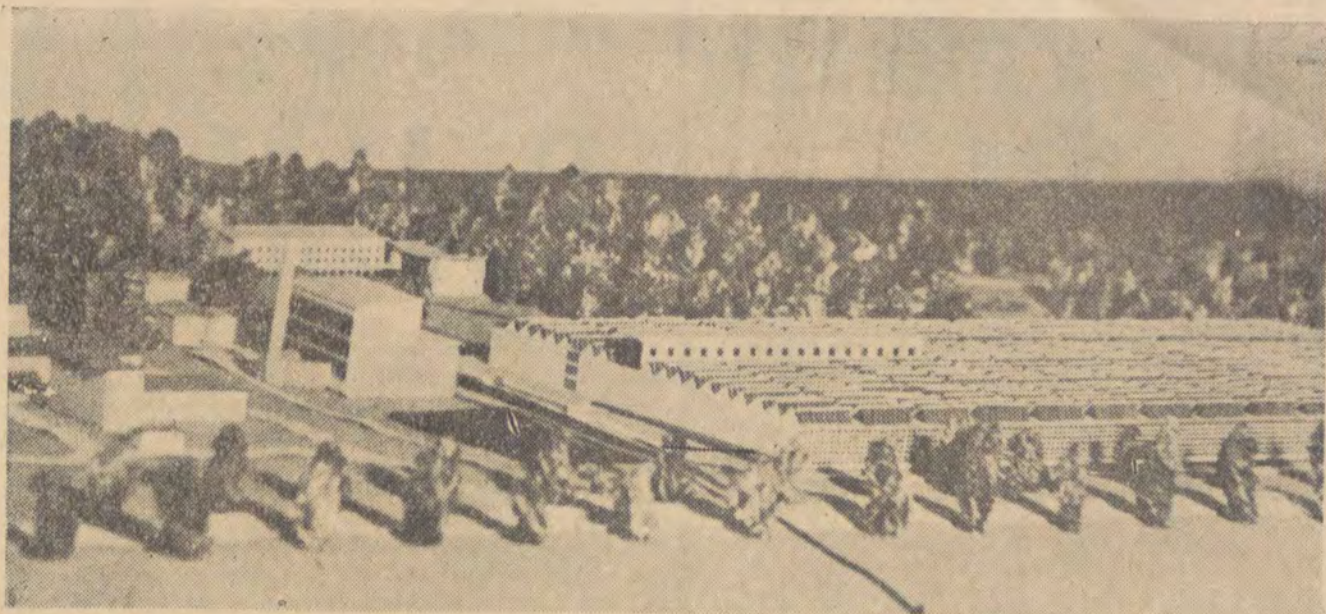
**Dokończenie**  
ze str. 1

## Łódzkie Zakłady Opakowań

Przez wiele lat wyroby naszego przemysłu z trudem zdobywały sobie uznanie za granicą, między innymi wskutek niskiej jakości opakowań. W roku 1961 rozpoczęliśmy więc w Teofilowie pod Łodzią na obszarze 6 ha budowę wielkich zakładów opakowań.



Częściową produkcję uruchomiono już w r. 1963, od ubiegłego zaś roku roczna wartość produkcji wyraża się sumą 350 mln złotych, czyli jest trzykrotnie wyższa w stosunku do roku 1960. Zakład zamortyzuje się całkowicie za 2,5 roku. W tej chwili już każda złotówka, wydatkowana na tę inwestycję, daje rocznie 38 groszy akumulacji. Produkcja zakładów pokrywa całkowicie potrzeby eksportu i rynku wewnętrznego, ograniczając przy tym poważnie import opakowań z zagranicy.



## Tomaszów II

Ta inwestycja rozłożona jest na dwie pięcioletki. 31 grudnia 1963 r. ruszyła wykończalnia tkanin wełnianych. Roczna zdolność produkcyjna — 3,5 mln. metrów, przy zatrudnieniu 450 osób na dwie zmiany.

Obecnie zakład rozbudowujemy. Po raz pierwszy w historii polskiego włókna cała, 4 wydziałowa fabryka włókiennicza znajdzie się pod jednym dachem, co skróci cykl produkcyjny i ograniczy do minimum koszt transportu wewnętrznego. Za kilka lat pracować tu będzie łącznie 1700 osób. Inwestycja kosztowała 276 mln. złotych.



## Widzewska Anilana

Anilana, to polska nazwa włókna poliakrylonitrylowego, czyli zachodnio-europejski orlon.

Od dawna stosuje się już to włókno w mieszance przy produkcji dzianin wełnianych. Anilana nadaje im lekkość, efektywność i większą wytrzymałość. Pierze się przy tym nadzwyczaj łatwo, domowymi środkami.

Tu, w zakładach na Widzewie, 320-osobowa załoga produkuje rocznie anilany za miliard złotych. Warto przy tym wiedzieć, że dzięki wydatkowaniu 4,5 mld. złotych w pięcioletce na inwestycje w przemyśle włókien sztucznych, oszczędzamy rocznie, począwszy od 1965 r. 100 milionów dolarów, dzięki ograniczeniu importu tych włókien. Zwrotne sumy.



## Łowicz

Zakład przetworów owocowo-warzywnych wybudowaliśmy w Łowiczu w latach 1962—1964. Inwestycja kosztowała 70 mln. złotych. W tej chwili 500-osobowa załoga produkuje rocznie: 8 tysięcy ton przetworów owocowych i 4 tysiące ton przetworów warzywnych. Część produkcji idzie na eksport.



## Działoszyn

— Tu kombinat w Działoszynie, w skład którego wchodzi cementownia, fabryka eternitu i zakładu produkcji kredy. Całkowita budowa kombinatu, kosztem miliarda złotych, ukończyliśmy w b. roku, dając zatrudnienie 1400 pracownikom.

Produkujemy rocznie na eksport i na potrzeby wewnętrzne: 900 tysięcy ton cementu, 8 mln. metrów kwadratowych płyt eternitowych i 115 tys. ton kredy.

## Zgierz

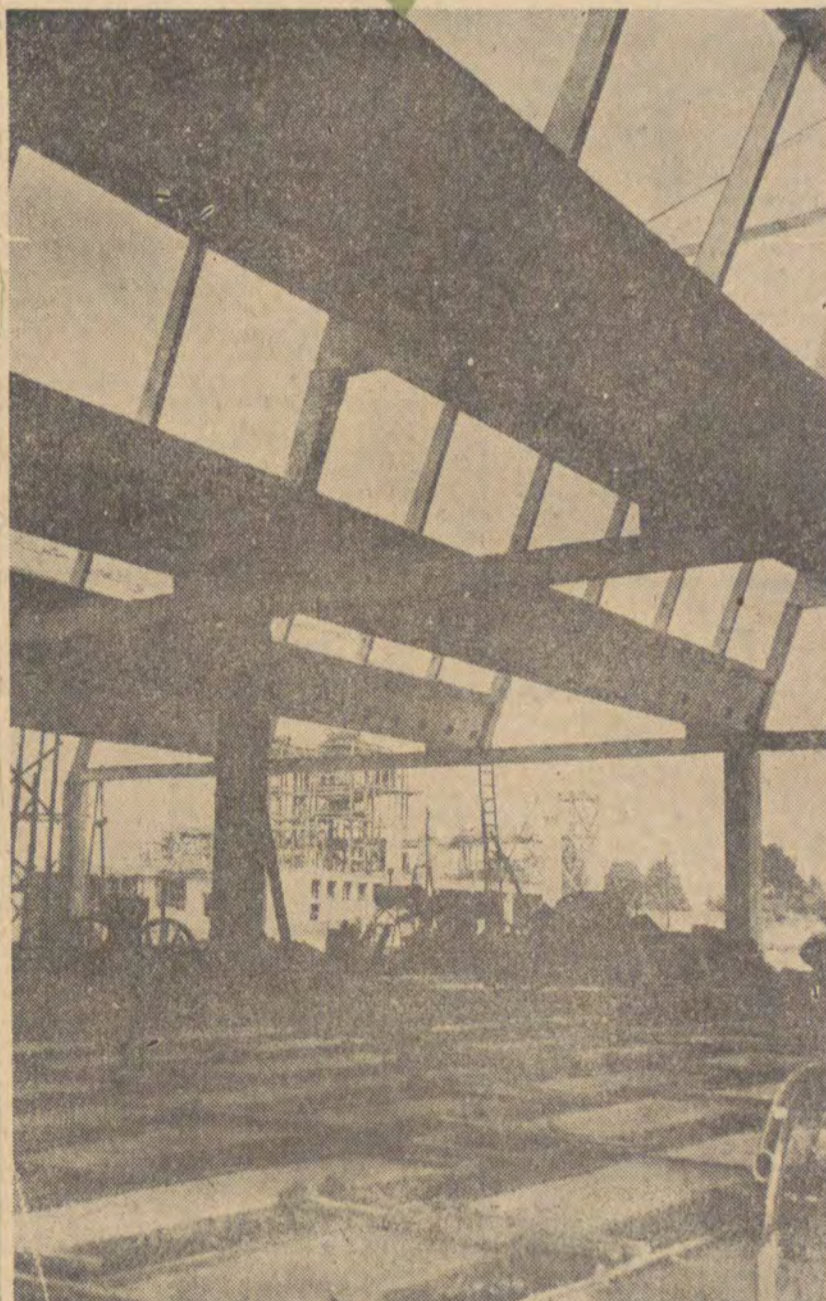
Pamiętacie stare, rozsypujące się zakłady Przem. Wełnianego im. J. Pietrusińskiego w Zgierzu? To już historia. Dzisiaj, w Zgierzu — Rudunkach, znajduje się jedna z najnowocześniejszych fabryk włókienniczych w kraju. Jedno stanowisko pracy 1600 osobowej załogi kosztowało tu 170 tysięcy złotych.

Budowę rozpoczęliśmy w r. 1959. 31 grudnia 1961 r. uruchomiono oddział wykończalni, tkalnia i przedziałnia ruszyły w tym roku.

Praca wyłącznie na dwie zmiany. Produkcja roczna: przedziałnia — 1300 ton przędzy, tkalnia — 4 mln. metrów tkanin, wykończalnia — 5,5 mln metrów tkanin.

EUGENIUSZ KUDAJ  
PAWEŁ NOWAKOWSKI

Tekst: JERZY BINDER  
Zdjęcia:



## Łęczyskie Zakłady Górnicze

— Czy Łęczyskie Zakłady Górnicze?

— Tak jest, przy aparacie dyrektor przedsiębiorstwa...

— W pięcioletce otrzymaliśmy 140 mln. złotych na rozbudowę zakładów. Na co przeznaczycie tę sumę?

— Wybudowaliśmy nową kopalnię L-3, z której wydobywamy rocznie 240 tysięcy ton rudy.

— Dziękujemy.



# Szczerba w Atlantyckim Wale

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Kiedy Schnedderer wrócił na swoje miejsce za biurkiem, Duchez stał nieruchomo w tym samym miejscu, co przed kilku minutami. Nerwowo przelatywał. Bauleiter zlustrował go uważnym spojrzeniem — tak się przynajmniej Francuzowi wydawało. Po chwili jednak wrócił do odłożonych próbek, wybrał dwie i pożegnał Duchezę, nakazując mu zjawić się w najbliższy poniedziałek.

Opuszczając pokój malarz był pewien, że za sekundę, za moment, rozlegnie się za jego plecami ryk wymyślny, albo też seria strzałów bez ostrzeżenia.

W poniedziałek od samego rana Duchez przystąpił do pracy. Oba pokoje, które miał wytapetować mieściły się na tym samym piętrze, co gabinet Schnedderera, w którym ukrył mapę. Malarz ani na chwilę nie opuszczał strach. Wydawało mu się, że Niemcy już wiedzą o przestępstwie i czekają tylko na odpowiedni moment, aby go aresztować. Ze zgrozą myślał o niemieckiej perfidii i, aby zagłuszyć lek, pod śpiewywał sobie dosyć głośno. Za chwilę zjawił się jeden z ordynansów i ostrym tonem zwymyślał Duchezę za to, że przeszkadza pracować urzędnikom w sąsiednich pokojach. Malarz posłusznie zamilkł, a'e natychmiast w tym momencie odwaga poprosił o widzenie z bauleiterem Schneddererem.

— No to śladaj pan w pociąg i jedź do St. Malo! — zaśmiał się ordynans.

Duchez zrozumiał, że cały jego plan wziął w łeb i jeśli Schnedderer nie wróci jutro, to nie będzie okazji, aby dostać się do jego gabinetu i wykraść stamtąd mapę.

— A kiedy bauleiter wróci? — zapytał.

— Nigdy! — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

I ogarnął go lek. Czy nieobecność Schnedderera nie wiąże się z zaginięciem mapy? Ale nie. Przecież poszukiwanoby winnych i napewno by jego, René Duchez.

Pracę zakończył popołudniu. Dowiedzieliśmy się, że następcą, przeniesionego służbowo Schnedderera, mianowano bauleitera Kellera, chciał się z nim zobaczyć. Niestety, Kellera tego dnia nie miał czasu dla malarza. Sprawa wydawała się przegrana.

Do następnego dnia Duchez myślał, jak wybrnąć z powstałej sytuacji. Kiedy w 24 godziny później zjawił się ponownie w budynku organizacji Todta, nowy plan strategiczny przemyślany zo-

stał w najdrobniejszych szczegółach.

Dostawszy się przed oblicze Kellera Duchez z głupia frant zapytał go, kiedy może rozpocząć następną pracę?

Nic o tym nie wiem. — Odowiedział Keller. — Bauleiter Schnedderer przekazał mi wyraźnie, że mają być odnawiane tylko dwa gabinety.

— Oczywiście — uśmiechnął się René Duchez — bo ten trzeci figuruje w umowie. Bauleiter Schnedderer zanotował to tylko w swoim notatniku.

— Nie mamy na to pieniędzy! — przeciął krótko Keller.

— No właśnie... — Duchez jęknął się z zażenowaniem. — Ustaliliśmy z bauleiterem Schneddererem, że prace w jego gabinecie wykonam gratis...

Twarz Kellera pokryły fałdy przyjaznego uśmiechu. Z wyraźnym zadowoleniem klepnął Duchezę po ramieniu, wykrzykując: „Vous etes un bon Français!”

Rankiem 13 maja René znalazł się ponownie w gabinecie, gdzie za lustrem tkwiła bezcenna wprost zdobycz. Po południu tego samego dnia mapa budowanego u wybrzeży Normandii „Atlantyckiego Walu” znalazła się w bezpiecznym miejscu. Za kilka tygodni drogą przez Paryż przetransportowano ją do Londynu.

Niemcy spostrzegli zniknięcie mapy dopiero prawie po upływie sześciu tygodni. Stało się tak dlatego, ponieważ mapy tego rodzaju były wykonywane w 12 egzemplarzach. Wysłano je następnie z gmachu przy Avenue de Bagatelle do różnych jednostek nadrzędnych w celu zatwierdzenia i nanieśnięcia ewentualnych poprawek. Ludzono się przeto, że któryś z adresatów zapomniiał tę ściśle tajną mapę odesłać.

W obawie o własną skórę dowództwo jednostki Todta w Caen nie zawiadomiło o zaginięciu mapy ani Wehrmachtu ani tym bardziej gestapo. Poszukiwania przeprowadził jedynie specjalny oddział SS wyznaczony do pilnowania tajemnic Todta w Normandii. Aresztowano w Caen wielu grafików, rysowników i fotografów, przy puszczając, że któryś z nich musiał na pewno być zatrudniony przy kopiowaniu tajnych planów. Po tem sprawę zatuzowano.

Tak więc przez następne miesiące i lata rozbudowywano umocnienia na wybrzeżach Normandii według planów, które alianci mieli w swym posiadaniu dzięki Duchezowi już od czerwca 1942 roku.

Łódź 1960

# Budowlani

Na tym placu budowy byliśmy na parę dni przed ukazaniem się niniejszego numeru. Zdjęcia, które zamieszczamy, są już nieaktualne, należą do „historii”. Nie ma już rusztowań, na które wspinają się robotnicy, dokonują ostatnich zabiegów, domy są odmalowane, barwne, teren wyrównany, nie ma gruzów, jeszcze nie wszędzie zdążyła pokazać się trawa. Podarowano miastu na 22 Lipca nowe bloki, osiedle nosi imię Władcy Bytomskiej, piękna, szeroka, nowoczesna ulica, druga ulica, trzecia ulica. Jeszcze w bieżącym roku rozpocznie się budowa dalszych bloków w tej dzielnicy, powstanie osiedle na czternaście tysięcy ludzi, Łódź bogaci się. Widok stąd rozległy, osiedle rozłożyło się na wzgórzu, dobrze wybrano miejsce, dalej widać szosę warszawską, najładniejszy wjazd do Łodzi, „z perspektywą”.

Ta perspektywa pełni tutaj funkcję symbolu. Rzeczywiście panorama Łodzi jest stąd głęboka i urzekająca, sceptycy się uśmiechną, ale tak jest w istocie, i można także mówić o perspektywie rozwojowej, tu już nie ma miejsca na uśmiech sceptyka, ta perspektywa ma swoje uzasadnienie. Patrząc na to osiedle, na Żubardź, na inne osiedla, które wieńcem otaczają nasze miasto, można pisać, że Łódź zrzuca z siebie „stara cuchnąca, pozostała po kapitalizmie szata”, że „przekształca się w miasto socjalistyczne...”. W roku trzydziestym pierwszym 92 procent ludności Łodzi mieszkało w domach pozbawionych prymitywnych urządzeń sanitarnych. Domów takich była w Łodzi większość, 60 procent. Dokumenty z tego czasu, wydawnictwa, pamiętniki mówią o warunkach bytowych i mieszkaniowych człowieka pracy. W „drobnych ogłoszeniach” gazet można wyłowić ofertę sprzedaży dziecka. Nie inny obraz znajdziemy

w roku trzydziestym pierwszym, jeszcze gorszy w czasie wojny. W ciągu sześćnastu lat powojennych Łódź z każdym dniem zmienia swoje oblicze, zmienia swój krajobraz, rozrasta się, młodziwie, pięknieje. A to jest dopiero początek przemian, perspektywa rozległa.

Bohaterowie tych czasów, współtwórcy tych zmian, oto oni, wiszą na rusztowaniach, murują, malują, pracują na ziemi, równają ziemię, wywożą gruz, robotnicy budowlani, wodociągów, kanalizacji, robót drogowych, przedsiębiorstwa ogrodnicze, coraz więcej jest ich w Łodzi, coraz więcej osiedli się buduje. Pisze się o ludzkiej pracy, ambicji, talentach, mówimy o robotnikach, ambicją tutaj istotnie wchodzi w rachubę, bez niej nie byłoby terminowego wykończenia budowy, ambicji nie można mechanicznie przeliczać na złotówki, nie tylko złotówki oplacają pracę.

Dwa tysiące złotych średnio zarabiają na budowie robotnicy, cztery tysiące murarze, trzypięćsetny dom wznosi się w przeciągu miesiąca, możemy wymienić różne cyfry, różne przeciętne, mniejsze, wyższe, dane są do sprawdzenia, służył mi gospodarz terenu, przewodniczący Rady Narodowej, może nimi służyć każdy dyrektor, inżynier, majster, robotnik. Cyfry w jakimś pośrednim stopniu powiadają o wysiłku, o ludzkim trudzie, przeciętna zarobkowa mówi w sposób pośredni o stopie życiowej robotnika, na tę stopę składają się nie tylko miesięczne zarobki, zarobki nie są duże, nie są małe, wystarczają na życie, na ubranie, na rozrywkę. Dzieci chodzą do szkoły i tu właśnie dotykamy rzeczy najważniejszej, często pomijanej. Dzieci robotnika — dla nich nie ma zamkniętych bram, otwarte są wszystkie drogi, czekają studia, zawody, szerokie możliwości życiowe, miasto rośnie. Rosną także robotnicy, budowlani, w takim samym tempie rosną, w jakim miasto rośnie.

TEKST: Tadeusz Papier  
ZDJĘCIA: Waclaw Billiński



# Pocztówka z autostopu

le, prychna od naszego kurzu i chyba jest jej wesoło.

\* \* \*

Teraz siedzimy nad morzem — szef rozciera utrudzone, gigantyczne nożyiska; fale łupią o brzeg. Przypływ. To jest najdalej wysunięty kraniec Ziemi Północnej. Po tem jest tylko morze — miejsce, gdzie słońce daje nurka — i wybrzeża Szwecji.

— Jakby chciał pojechać, to starczy wziąć krycę... — E, fala przewróci... — Na cholere jechać — kończy nagle rozważania szef;

wstaje i gramoli się do morza; na cholere jechać — powtarza — czy tu źle?

Słońce zachodzi. Robi się chłodno. Wracamy z szefem po piasku.

Na kolację jest ryba pachnąca olejem i jodem. Szef wyciąga z kieszeni „ćwiartkę” kupioną po drodze; ryba musi pływać.

Potem siadamy w czwórce, na ławce przed domem. W czwórce, to znaczy: szef, rybak, żona rybaka i ja.

Żona rybaka jest smagła, wiatr jej spódnice zadziera — wiatr dotyka piersi i dloni. Fajny wiatr.

A szef patrzy, zapala papierosa — i gada.

\* \* \*

Opowiadanie szefa:

„Był jeden facet — wtedy, jak szef wozil mięso i

sloninę z rzeźni na zachodnim skraju województwa — i to był twardy facet. Nie jak człowiek twardy — jak kot. Bo kota trudno zabić i trudno od czegoś odczuć. Facet pił. To był Ukrainiec — a Ukraińcy potrafią pić i bić.

Dzieciaki podchodziły — kiedy szef zatrzymał się, żeby nabrać wody do chłodnicy — podchodziły i mówiły: „Daj kuszat'bat'ka...” a potem stały i gapily się na mięso i sloninę. No, to szef wyjmował, co tam miał w szoferce i dawał — bo go wkurzało tak, że już nic nie mógł przelknąć. To były dzieciaki tamtego faceta. A facet pił.

Facet bradział po pijanemu jak pijany króliczek. Wził pięścią w stół, szkło przyskalo diabli brali publikę. Ale facet miał pięść jak

bochen i sam był nie od macochy, to wszyscy siedzieli cicho.

Na szefa facet się nie nadziewał. „Niech się mnie czepli kiedy, jak tu będę na odpoczynku — mawiał szef — to przypierzę mu na cały ruski miesiąc”.

„A huknij pan to ścierwo; nie panu nie będzie, słowo honoru” — odpowiadał komendant posterunku MO. Wszyscy wiedzieli, że milicja położyła krzyż na losie faceta.

Któregoś dnia, szef zatrzymał się na odpoczynek w tamtej miejscinie. Wracał pustym wozem — a że noc szła gorąca, więc postanowił prze nocować. Wieczorem poszedł do knajpy, i wtedy facet nadział się na niego.

— Sam podstawiłem mu nogę — powiada szef — bo tak mi zbrzydł cholernik.

„Sukinsyn, sobaka” — tyle warknął facet. Potem go pozbierali z podłogi — szef, razem z pomocnikiem — wnieśli na dwór, wyrzucili pod

maszynę i przywiązali do koła.

Rano szef się obudził i poszedł zajrzeć do faceta. Tam ten miał oczy zamglone i zdawało się, że już nie pociągnie.

— Twardy był, bestia — mówi szef — kiedy go odwiązałem i postawiłem na nogi, to warknął. „Sukinsyn, sobaka” tylko tyle warknął. No to się zamachnąłem...

— Przywiązałem go do koła, i pomocnikowi powiedziałem, że mogą nas wylać z roboty, a ja się stąd nie ruszę, aż zgnoję tego faceta — dodaje szef.

Wszystko powtórzyło się jeszcze dwa razy. Potem faceta odwieziono do szpitala.

Komendant posterunku pa trzył za karetką pogotowia — podszedł później do szefa, podał mu rękę, i powiedział: „Fajny chłop z ciebie. Masz serce. Dobrze żeś go nie zabił”.

— Teraz bywam w tam-

tych stronach co jakiś czas — mówi szef — ale dzieciaki są już inne, ubrane, do obcych o byle co nie podchodzą. Do szkoły chodzą. Stara tamtego faceta, to mnie po rekach całowała. Nachwalić się nie mogła. Ale jak mi ten gość ukłonił się do ziemi, to mu w mordę dałem. Niech pamięta, że jest człowiekiem, a nie jakimś tam... Potem poszliśmy na piwo. Bo piwo pić.

Koniec. Zapalają się gwiazdy. Pointa opowiadania.

ROBERT GLUTH.



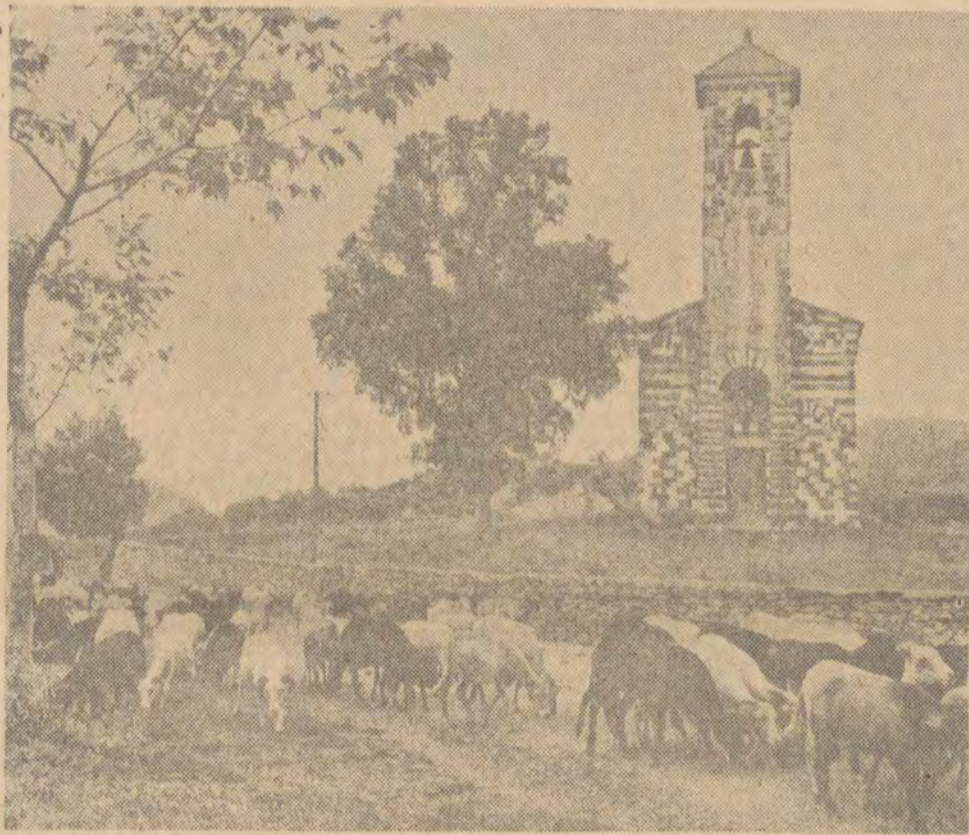
str. 4 **odgłosy**



# KORSYKA „CHCEMY TURYSTÓW, A NIE BOMB!”

O 170 kilometrów na południe od śródziemnomorskiego wybrzeża Francji wynurza się z morza Korsyka niby ogromna góra sięgająca najwyższymi szczytami ponad 2700 metrów. Słynna z pięknych krajobrazów i egzotyki życia wyspa ściąga licznych turystów, nie bardzo się jednak nadaje na miejsce stałego zamieszkania i cierpi na nieustanny odpływ ludności, zniechęconej zastygłymi formami egzystencji a przede wszystkim biedą. Według oficjalnych danych wyspę zamieszkuje 244 tysiące osób, ale władze lokalne doliczają się zaledwie nieco powyżej 150 tysięcy. Nic dziwnego, w stosunku do Francji metropolitalnej życie jest tu droższe o co najmniej 30 procent.

Kraj jest ubogi, nie posiada prawie wcale przemysłu, rolę uprawia się środkami przypominającymi średniowiecze, a przy tym żyznych gruntów jest bardzo mało. Połowę powierzchni wyspy zajmują nieużytki lub porasta makchia — dzikie, wieczne zielone krzewy lentyszka (mastykowca), pleniące się momentalnie przy najmniejszym zaniedbaniu uprawy i rokrocznie pożerające pewien areal pól i winnic. Jedną trzecią terenu porastają lasy, niewiele więc pozostaje na rolę i pastwiska. A właśnie prymitywne pasterstwo — obok połowu ryb — stanowi główne źródło utrzymania mieszkańców.



Symbolem sprzeczności, w jakich widać się rolnictwo korsykańskie jest czarno-białe stado, pasące się przed zielono-białą „katedrą” w Murato. Już Napoleon stwierdzał, że najpilniejszą sprawą dla mieszkańców wyspy jest opracowanie dobrego prawa rolnego, które zapobiegłoby dewastacji kraju przez kozy. Natomiast owce są jednym z nielicznych źródeł przychodu. Stada o pogłowiu około 200 tysięcy sztuk dają utrzymanie trzem tysiącom rodzin, które sprzedają sery w Roquefort. Ale zyski są niskie, za mleko korsykańskie płaci się taniej niż hodowcom na kontynencie, w dodatku chłopci sami muszą opłacać transport.



Masyw Argentella. Tu miano dokonać eksplozji.



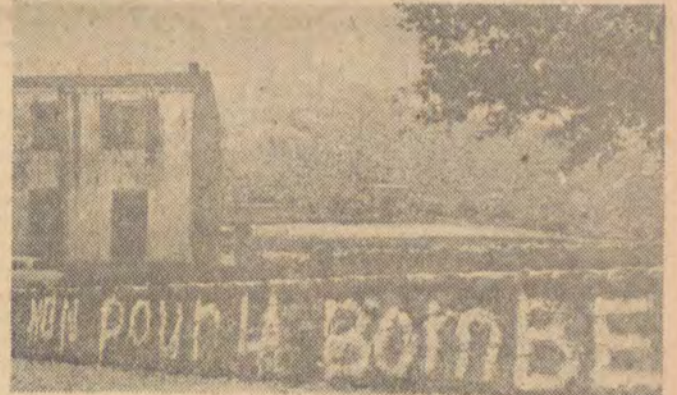
By rozwiązać trudne problemy korsykańskie...  
... rząd zaproponował bombę wodorową.

**WOBEC GWALTOWNYCH PROTESTÓW LUDÓW AFRYKI ORAZ CALĘGO ŚWIATA PRZECIWIW EKSPLOZJOM NUKLEARNYM NA SAHARZE RZĄD FRANCUSKI ZDECYDOWAŁ SIĘ KONTYNUOWAĆ DOŚWIADCZENIA NA KORSYCE. OTO DLACZEGO WYBLANO ÓW DEPARTAMENT I JAK RZĄD SKAPITULOWAŁ.**

Trzynastego kwietnia na lotnisku Campo dell Oro koło Ajaccio wylądował samolot marynarki francuskiej. Z samolotu wysiedli trzej nieznanj dygnitarze. Jak się później okazało, byli to panowie Guillaumat — minister do spraw energii, atomowej Perrin — wysoki komisarz badań atomowych oraz Mabile — dyrektor departamentu badań górniczych. Nikt ich nie witał, przybyli incognito.

Następnego dnia dziennik w Bastii zamieścił komunikat oficjalny pod znamienym nagłówkiem „Rozwiązanie problemów korsykańskich — bomba atomowa”. Rząd zapowiada stworzenie ośrodka podziemnych wybuchów jądrowych na terenie masywu górskiego Argentella, na zachodnim wybrzeżu wyspy, o piętnaście kilometrów od miasta Calvi.

Wzburzenie społeczeństwa było ogromne. Merowie ważniejszych miast, deputowani do parlamentu, senatorowie — za wyjątkiem jednego gaulisty — zgłosili najostrzejsze protesty, a przynajmniej umiarkowane w tonie zastrzeżenia. Giacobbi, przewodniczący rady generalnej okręgu stwierdził publicznie, że ile razy przyjedzie na wyspę jakiś minister, tylekroć zaczynają się kłopoty. Giovoni były deputowany komunistyczny zaprotestował artykułem, w którym podkreślił, że największym źródłem dochodów



ludności jest turystyka, ale któż teraz zechce spędzić wakacje w kraju, gdzie dokonuje się doświadczeń nuklearnych.

Natychmiast powstał komitet walki z projektem rządowym. Posiedzenie zwołano do Palacu Narodów, dawnej siedziby miejscowego rządu w okresie krótkiej niepodległości wyspy. W nędznej, mrocznej sali, oświetlonej tylko przez jedno okno, bo drugie zalepiono płachtami gazet, zebrał się przedstawiciele podkomitetów lokalnych, którzy krętymi ścieżkami przybyli śpiesznie do stolicy. Jak mówią mieszkańcy, Korsyka jest mała ale dobrze „splisowana”.

Przewodniczącym komitetu wybrany został doktor Orabona, który najgoręcej występował przeciw zamachowi rządu na prawa ludności. Wybór zakrawał na paradoks — dr Orabona był bowiem merem Calvi z ramienia gaulistowskiej partii U.N.R., a w roku 1958, w maju, w okresie narodzin Piątej Republiki, jako szef „Komitetu Ocalenia Narodowego” zdobywał na czele spadochroniarzy prefekturę.

Po fali protestów rząd znalazł się w kłopotach. W parę dni później generał de Gaulle zwołał zebranie robotcze, w którym uczestniczyli premier Debré, minister obrony, minister do spraw ener-

gii atomowej, szef sztabu obrony narodowej, i szef sztabu armii. Zebranie poświęcone było całkowicie projektowi doświadczeń na Korsyce.

Obecni stwierdzili z melancholią, że przygotowanie psychologiczne i polityczne operacji okazało się niewystarczające; postanowiono podjąć nowe kroki perswazyj. Nie chodziło o kary. General uważał że — ze względu na opinię światową — nie można sobie pozwolić na drugą eksplozję w Reggane, ale nie należy się wyrzekać atomowego dobrodzenia. Było to bowiem doskonałe narzędzie szantażu pozwalającego na odegranie wybitniejszej roli w lonie sojuszu atlantyckiego, a w dodatku miliardy franków wydane na broń rozszczepialną sły do kieszeni ludzi, którzy aktywnie podtrzymywali obecny rząd. Ludność Korsyki musi więc pogodzić się z jej losem. Jak zwykle w nieprzyjemnych sprawach misję złocono wiernemu premierowi Debré.

W dniu dwudziestego

(Dokończenie na str. 5)





# KORSYKA

(Dokończenie ze str. 5)

ósmego kwietnia radzie generalnej Korsyki odczytano depeszę premiera. Składała się ona z trzech punktów.

„Doświadczenia, które będą przeprowadzone w Argentella, nie mogą dla nikogo z żyjących przedstawiać najmniejszego niebezpieczeństwa, ani wywołać niebezpiecznych następstw w postaci szkodliwego dla zdrowia zakażenia powietrza czy wód.

Miejsce zostało wybrane po dokładnym przebadaniu całego terytorium metropolii. Układ geologiczny i jakość skał oraz wysokość i rodzaj zboczy masywu sprawiają, że jest to technicznie ośrodek najdogodniejszy.

Doświadczenia o bardzo słabej mocy przeprowadzone będą wyłącznie pod ziemią i tylko między pierwszym listopadem a pierwszym kwietniem, a więc poza sezonem turystycznym.

Pomimo wytwornego stylu list okazał się jeszcze jednym fałszywym krokiem.

Po pierwsze, uczeni stwierdzili, że zapewnienia premiera o nieszkodliwości doświadczeń wyszane zostały z pałca. Niebezpieczeństwo realne istnieje, a zwłaszcza niebezpieczeństwo zatrucia wód podskórnych, co mogłoby spowodować nieobliczalne następstwa zakażenia mózgu. Jest to, jak wiadomo, zagrożenie, którego ze względu na prądy morskie specjalności obawiają się szczególnie. W dodatku doświadczenia nie dadzą najmniejszych korzyści naukowych, ich cel jest czysto militarny.

Po drugie, na wiadomość że chodzi tu o decyzję, a nie o możliwość doświadczeń, wielu czasowiczów odwołało swój przyjazd na Korsykę. Wzbudziło to tym większe rozgoryczenie ludności. Deputowani zażądali wizyty u premiera. Debré ich przyjął szóstego maja już po wielkich manifestacjach mieszkańców wyspy i zapowiedzi generalnego strajku. Uzałał się przy tym oświadczenie: „Nie są zadowoleni Korsykanie, nie są zadowoleni Bretończycy, nikt nie jest zadowolony. Czy może istnieć jakikolwiek rząd, jeżeli każdy obywatel odmówi odrobiny ofiarności...”

Wyznał jednak przy okazji, że rząd waha się jeszcze i rozważa inne alternatywy

przeprowadzenia podziemnych doświadczeń nuklearnych w Masywie Centralnym lub w górach Atlasu. Oznaczało to delikatne wycofywanie się ze stanowczego tonu listu.

Tymczasem opór ludności stęzał. Pierwotna powściągliwość i paniczna reakcja ustąpiła miejsca rozważnemu rozpatrzeniu problemu. Ustalono, że Korsykanie zgodzą się bez zastrzeżeń na budowę reaktora atomowego, ale nadal protestować będą przeciw bezsensownym i niebezpiecznym doświadczeniom.

Wówczas pojawiła się dywersja. Najpierw wystąpił ultrasi.

Na Korsyce, od czasu przyłączenia wyspy do Francji w osiemnastym wieku istniała zawsze mniej lub więcej liczna grupa zakonserwowanych separatystów. Kilkakrotnie próbowali oni, korzystając z różnych okazji, wystąpić zbrojnie przeciwko „pinzulin” — tak nazywano przybyszów z kontynentu robiąc aluzję do zastrzyżonych czapek żołnierzy Ludwika XV. Zwolennicy Baggiego, niedawno wypuszczonego z więzienia przywódce ruchu, próbowali już raz dokonać zamachu stanu w okresie pamiętnych wydarzeń w Algierii. Obecnie sytuacja wydała się im równie dogodna, zaczęli nawoływać do zbrojnej partyzantki. Co ciekawsze w dziwny sposób goździli dwa sprzeczne hasła: „Algeria francuska” i „Niepodległa Korsyka”.

Rząd nie bardzo się jednak przejął niewydarzonymi spiskami maniaków. Miał kłopoty poważniejsze — niespodziewaną konsolidację lewicy. Zaraz też znalazł na prawicy sprzymierzeńców, którzy zaczęli głosić, że zapowiedziane doświadczenia atomowe i związane z nimi przyjazd techników zapoczątkują erę industrializacji wyspy. Poinstruowano też odpowiednio deputowanych.

Wydawało się, że walka jest przegrana. Jednakże dzięki nieugiętej postawie partii komunistycznej doszło do nowego spotkania członków komitetu antyatomowego. Po burzliwej dyskusji uchwalono wystąpić do rządu ze stanowczym memoriałem domagającym się całkowitego zarzucenia projektu.

W tydzień później, dnia 9 czerwca, dwaj delegaci komisji Badań Atomowych, geologowie, którzy przeprowadzali badania w Argentella, opuścili nagle Korsykę. Do prefektury przyszło urzędowe zawiadomienie o rezygnacji z zamierzeń. Rząd wycofał się na całej linii.

Na podstawie artykułu w „Regards” opracował M. N.

Decyzja francuskiej rady ministrów dokonania na Korsyce eksplozji nuklearnych wywołała natychmiastową i gwałtowną opozycję. Ruch Obrońców Pokoju rozlepił afisze, które nawoływały: „Precz z doświadczeniami atomowymi. Przed trzema laty pięćdziesięciu lekarzy z Ajaccio ogłosiło apel przeciw doświadczeniom nuklearnym i niebezpieczeństwu radiacji. Nikt jednak nie przypuszczał, że pewnego dnia doświadczenia atomowe mogą być dokonane na terenie naszego departamentu...”

Przypadek zdarzył, że afisz zawieszono obok plakatu filmowego reklamującego film, w którym pewien generał podejmuje zbyt ryzykowną akcję.



Chłop korsykański.

W Camari znajduje się jedyna we Francji kopalnia azbestu. Przerabia się tutaj około miliona ton surowca rocznie. Daje to około dwudziestu tysięcy ton włókna, reszta w postaci zielonkawego żużlu wyrzuca się na plażę. Cena tony azbestu wynosi około 125 dolarów. Byłoby to bogactwem dla wyspy, lecz zyski zbiera spółka „Eternit”, która dyskretnie przemilcza swoje bilanse.

Robotnicy pochodzą z okolicznych wiosek, czasami zresztą przyjeżdżają z daleka. Dodatkową ilustracją sto sunków na Korsyce jest brak szkoły przysposobienia zawodowego, specjalistów sprawa wada się z kontynentu.

Zawieszony na linie robotnik pracuje nad trzystumetrową przepaścią. Trudne warunki pracy, niebezpieczeństwo, jak również konieczność pracy nocnej (fabryka idzie na trzy zmiany), powodują częste strajki. Robotnicy tutejsi stanowią aktywny klasowy związek zawodowy (Generalnej Konfederacji Pracy — CGT). Zarobki w fabryce należą do najwyższych na wyspie, co nie oznacza, że są wysokie.



ALEKSANDER POSTOŁOW

# Co

W „Nowej Kulturze” toczy się od paru tygodni dyskusja o polityce wydawniczej. Kolejne artykuły Alleji Lisieckiej i Zygmunta Kalużyńskiego, byskotliwe i zawierające niejedną trafną uwagę, niewiele, poza tytułem powiedziały o samej polityce wydawniczej. Dopiero artykuł Heleny Zatorskiej umiejscowił zagadnienie w konkretnym czasie i miejscu. Autorka popierając swe rozważania szeregiem konkretnych i interesujących przykładów, opowiada się za literaturą typu realistycznego, adresowaną do szerokich kręgów czytelnicy, za literaturą zdolną na te kręgi oddziaływać ideowo poprzez przekazywanie treści humanistycznych mieszczących się w pojęciu „socjalizm”.

Słuszność tego ogólnego postulatu nie ulega wątpliwości. Kłopoty pytania zaczynają się w sferze konkretnych i właśnie z punktu ich widzenia chciałbym wtrącić swoje „trzy grosze”.

Polityka wydawnicza nie jest jakąś sprawą oderwaną, wartości samą w sobie, ale musi być rozpatrywana w aspekcie ogólnokrajowej polityki kulturalnej. Z drugiej strony polityka kulturalna, jak każde zresztą działanie społeczne, musi uwzględniać życie i potrzeby określonego środowiska, jego zainteresowania.

Łódź stała się po wojnie ogromnym tygłem, w którym miesza się warstwa przybyszów ze wsi i małych miasteczek z zasiedlającą już, o pewnych tradycjach mieszczańskich ludnością robotniczą. Podobne zjawisko obserwujemy i wśród inteligencji. Tę warstwę zasila głównie przybysz ze środowisk małomiasteczki, nie związanych z Łodzią i jej tradycjami, rzadziej ze wsi i osad.

Wystarczy przypomnieć, że w roku 1945 Łódź liczyła zaledwie 400 tys. mieszkańców, obecnie zaś jej ludność przekroczyła 700 tys. Jeśli odrzucimy przyrost naturalny, to co najmniej trzecia część mieszkańców Łodzi stanowi element napływowy.

Świeżo przybyła ludność robotnicza nie była dotychczas konsumentem kultury, chyba że za taką uznamy widowiska jarmarczne i towar różnych komiwojażerów pseudokultury, czyli po prostu szmery. Zresztą bardzo często podobnie ma się sprawa z robotnikami siastadzielnymi, którzy nie ze swej winy nie znaleźli się dotych-

czas w kręgu odbiorców kultury w naszym rozumieniu tego słowa.

W tej sytuacji trzeba zaczynać niemal od początku, to znaczy przyzwyczajając ludzi do korzystania z urządzeń kulturalnych, a między innymi wykształcając elementarny nawyk czytania. Jeśli zaś mamy przyzwyczajać, to wypada zazwyczaj od zaspakajania już występujących apetytów. Z reguły potencjalny czytelnik będzie szukał w lekturze łatwo strawnej rozrywki. Nie skądinąd wynika poczytność kryminałów, różnego typu „comicsów” itp.

Trzeba zatem temu czytelnikowi dać książkę, w której sensacyjna, „wciągająca” fabuła łączyłaby się z wartościami odpowiadającymi postulatowi, o których była mowa na początku. Sprawa trudna, ale warta zachodu. I to właśnie jest, moim zdaniem, jednym z najważniejszych jeśli nie najważniejszych — zadań Wydawnictwa Łódzkiego.

Historia Łodzi, niezwykła kariera tego miasta jako ośrodka przemysłowego, bogate tradycje walk wolnościowych, wszystko to może dostarczyć czytelnikowi „dreszczyku emocji”, nie tracąc walorów poznawczych i dydaktycznych. Oczywiście, nie chodzi tu o żadną tandetę i tzw. schlebienie gustom. Przecież musimy uczyć odbiorcę dobrego smaku i stylu.

Doceniając owo „zamówienie społeczne” na literaturę w miarę emocjonującą, w miarę ambitną poznawczo i dydaktycznie, zainicjowałbym serię wydawniczą z dziedziny równie zapoznanej co pasjonującej — dziejów łódzkich fortun. W naszym planie znajdują się takie pozycje jak A. Berkowicza rzecz o Gayerze, A. Izerskiego „Królki widzewski” (rzecz o Oskarze Kohnie, byłym prezie i właścicielu Widzewskiej Manufaktury, jednym z najdramatyczniejszych i najciekawszych przedstawicieli kapitału łódzkiego, polskiego, a nawet... międzynarodowego).

Wymienione tytuły zapoczątkują cykl pod nazwą: „Dzieje łódzkich fortun”, odsłaniający kulisy ich powstawania dzięki pomysłowości i sprytności, idącym w parze z bezwzględny wyzyskiem i uciskiem. Obok tego cyklu planujemy pokrewne w konwencji prace o współczesności. Np. W. Jazdyń-



# wydajemy?

skiego „Umarli nie składają zeznań” — zbeletryzowany reportaż dokumentalny o wszystkich latach Polski Ludowej, E. Szustra „Wspomnienia o ginącej rzeźbie” — historia dzielnic robotniczych nad Jasioną.

Śledzimy również przy tego rodzaju edycjach do tematyki pozalokalne. Świadczą o tym choćby: Zofii Libiszowskiej „Blaski i cienie krociny” (książka poświęcona namiętności Szwedów), „Matecznik kontrreformacji” Zbigniewa Kuchowicza, jak również niektóre pozycje z literatury pięknej — klasycznej i współczesnej.

Podkreśliłem już, że literatura „dla wszystkich” nie oznacza łatwizny. Wprost przeciwnie, musi łączyć przystępną formę i język z wartościami merytorycznymi. Dlatego też we wspomnianych edycjach powinien znaleźć interesującą lekturę każdy łodzianin i nie tylko łodzianin. Oczywiście, wydawanie tego typu literatury jest tylko jednym z elementów upowszechniania czytelnictwa i może zdać egzamin wyłącznie w rezultacie koordynacji dobrze pomyślanego rozpowszechniania z odpowiednią akcją propagandową. Dotyczy to zarówno „Domu Książki”, bibliotek rejonowych, akcji TWP, domów kultury, wreszcie prasy. A może warto również sięgnąć do tradycji z okresu o wiele mniej sprzyjającego niż obecnie — do tradycji „Roju”, bibliotek groszowych, czy zasłużonej Biblioteki Uniwersyteckiej Ludowych? Mam na myśli sposób tanich serii wydawniczych i bezpośredniego kolportażu.

Jednakże problem upowszechnienia czytelnictwa nie jest jedyną troską Wydawnictwa działającego w tak zróżnicowanym środowisku, jak Łódź.

Wspomniałem na wstępie, że także i inteligencja łódzka składa się w poważnym stopniu z elementów napływowych, które należałoby zainteresować postępowymi tradycjami naszego miasta.

Dla tych czytelników przeznaczamy takie pozycje, jak M. Cygańskiego „Z dziejów

okupacji hitlerowskiej w Łodzi” (praca oparta o materiały archiwalne), S. Pestkowskiego „Wspomnienia”, niezwykle interesujący pamiętnik niezującego już łódzkiego działacza SDKPiL, z lat 1905—1907, jak „Walka o władzę w Łodzi na przełomie 1918—19” L. Karwackiego, czy „Życie muzyczne dawnej Łodzi” — A. Pellowskiego i inne.

No tak! — mógłby ktoś powiedzieć, a gdzie literatura piękna? Gdzie literaci łódzcy i pozalódzcy?

Oczywiście i w tym zakresie Wydawnictwo nasze rozwija a raczej kontynuuje swoją działalność. Ale rozwija ją w określonym dla obecnej polityki kulturalnej kierunku. Chodzi mianowicie o to, by literaci, a zwłaszcza młodzi literaci spojrzeli na swą twórczość od strony zainteresowań odbiorców i przydatności społecznej utworu. Dlatego też nie zamykając drogi dla eksperymentów popieramy w głównej mierze twórczość realistyczną, poruszającą tematykę przede wszystkim współczesną. Pod tym kątem patrząc, dajemy preferencję pisarzom łódzkim, przede wszystkim zaś debiutantom, choć nie możemy i nie powinniśmy ograniczać się wyłącznie do rogatek miasta.

I tak, kierując się tymi względami wydajemy np. w przyszłym roku z utworów pisarzy łódzkich m. in. S. Czernika „Cztery podróże”, T. Papiera „Dwa wygnania”, A. Brychta „Suche trawy”, spoza Łodzi A. Minkowskiego „Wielki poker”, J. Bobrowskiego „Bez miłości” i inne.

Ponieważ Łódź stanowi dość duże i uzdolnione skupisko poetów i satyryków, będziemy nadal kontynuować naszą działalność edytorską w tej dziedzinie.

Tak oto w głównych zarysach przedstawiają się zasadnicze kierunki działania naszego Wydawnictwa. Czy i o ile trafnie ujęliśmy główne potrzeby czytelnictwa Łodzi i naszą rolę w tym mieście — trudno nam samym wyrokować. Przydałaby się w tej mierze możliwie szeroka dyskusja.

ALEKSANDER POSTOŁOW



KAZIMIERZ ZYGMUND

## „Przysucha”

Przysucha — miasteczko niegdyś własność Morsztynów, później Dębińskich. Urszula z Morsztynów — Dębińska, starościna woiwódzka wystawiła w roku 1780 kościół z kamienia ciosanego na miejscu dawno drewnianego. Miasteczko ma trzy rynki: polski, żydowski i niemiecki. Już na początku 18 stulecia dziedzice sprowadzili tu rzemieślników — cudzoziemców. W pobliżu kopalnia rudy żelaznej, walcownia i inne zakłady przemysłowe.

Na pobliskiej górze leżą wsie Kozłowiec i Lipno — w ich to sąsiedztwie na górze pod Grudkiem ma przemieszkawać ów diabeł, który jako strzał w kręconym wirze się objawia.

Taki opis swego rodzinnego miasta pozostawił Oskar Kolberg w jednym z tomów potężnego dzieła zatytułowanego „Lud”. W siedemdziesiąt lat później — 3 czerwca 1960 roku mieszkańcy miasteczka Przysucha, położonego na ziemi kieleckiej

co z tego wynikło — opowiem.

Niestety, wspomniany przez Kolberga diabeł, który w kręcącym wirze się objawiał na górze pod Grudkiem, z niewiadomych przyczyn zakończył swoją diabelską

zrozumiałem, gdy pokazano mi w Przysusze remontowany, bez widocznych rezultatów, od kilku miesięcy budynek. Był to obiekt, w którym ma mieścić się kino. Do tej pory bowiem miasteczko jest pozbawione przyjemności oglądania filmów.

Złą pasją milczenia i nudą przerwały „Dni Kolbergowskie” Miasto ożyło. Wszytkie budynki w centralnej części miasta otrzymały nową elewację, ładnie wymalowano drzwi i okna. Usunięto brud z chodników, zazieleniły się skwery.

A więc Kolberg tu się urodził i są na to dowody. Znajdują się one w kościele parafialnym.

Sporo informacji o pamiętkach kolbergowskich posiada wiceprzewodniczący Rady Narodowej, p. Słezak. Od niego też usłyszałem interesującą historię o pewnym buchalterze, byłym pracowniku PZGS-u niejakim Kobzakowskim, o którym mówiono, że jest naśladowcą Kolberga. Często można go było spotkać w pobliskich wsiach, dokąd jeździł, by zbierać pieśni i gadki ludowe. Odnalazł portret Kolberga. Zakupił go i zawiesił w świetlicy miejskiej. Przejęty duchem zbieractwa — pewnego dnia zakupił także opoczyńskie stroje ludowe dla przyszłego zespołu. Sęk w tym, że pieniądze (60 tysięcy złotych) wziął bez zezwolenia władz

instytucyj, w której pracował. Zarząd Spółdzielni, którego nie mogły obchodzić pa się buchaltera, uznał to posunięcie za bezprawne i Kobzakowski stracił pracę.

Gdyby nie ta lekka rączka do pieniędzy społecznych to kto wie czy znów za 70 lat Przysucha nie obchodziłaby uroczystości godnej dnia dzisiejszego — wmurowania tablicy pamiątkowej ku czci buchaltera Kobzakowskiego.

Ale swoją drogą wyznam, że dzięki tym sześćdziesięciu tysiącom złotych, które buchalter wydał swego czasu na zakup strojów ludowych z pozycji „kapitał obrotowy” — powstał zespół artystyczny, który niebawem wystąpił z pierwszym programem, oczywiście w strojach regionalnych. Fakt ten stanowi pewnego rodzaju okoliczność łagodzącą dla buchaltera.

Wspomniałem na początku że uroczystości w Przysusze

Stanisław Krasowski — to postać bardzo pozytywna w miasteczku. Po niefortunnym Kobzakowskim on jest najlepszym znawcą dzieł Kolberga. Szczególnie wykazując za miłowanie do pieśni ludowej. Wiele z tych pieśni wykonał ośmiuset osobowy chór pod jego kierunkiem w czasie trwania „Dni Kolbergowskich” czarując swym pięknem słuchaczy.

„Dni Kolbergowskie” pozwoliły przypomnieć ludności Przysuchy, jak i tym którzy tu przybyli — bezcenne skarby — pieśni, przysłowia i gadki ludowe. To, co lud stworzył, a Kolberg zebrał i opracował w swoim dziele.



„Diabeł i baba”

Prawowała się baba z diabłem. I niasiała prosa. I posła do diabła, że będzie się spółkował. Diabeł pilnował prosa — urosł i piękne było. Chłop przychodzi do zony i mówi, że mu diabeł zająć nie da, a zona mówi ze poradzi. Posła na jarmark, nakupiła dunicę nabrala ich w płachtę i posła zająć prosa. Kładzie na głowę dunicę. Przychodzi diabeł i chce ją teb urwać. I złapał za tę dunicę, pocałował i do piekła zaniósł, i pochwałił się, że ma babski teb. Przychodzi drugi raz — baba nadziła znów dunicę na teb, ón drugi raz zrywa dunicę — i tego było coś kilkanaście razy. — „Juz to ja z tobą nie poradzę” — „No to się zgódźmy; ty weźmiesz ze spodku a ja weźmiesz z wierzchu. Diabeł przyleciał, jak zagon drzeć scyrznie (ścieranie) i nakłada na kupę. Co baba diabła zaprosi, tu mu nagotuje kasy w samym mleku.

„O moja kochana, to ty wiadać mas lepsze — bo ja jak nagotuje, to sam piasek, bo mam samą ziemię”. — „No to teraz mój kochany weźmiesz ze zwierzchu a ja ze spodku”. „Baba niasiała rzepę, baba wykopała rzepę, a diabeł miał nac”.

„Zakład chłop z mrozem”

Założył się chłop z mrozem. Mróz powiedział do

# miasto rodzinne Kolberga



wmurowali znakomitemu rodakowi tablicę pamiątkową tej treści: „Wielki etnograf — badacz kultury ludu polskiego Oskar Kolberg. Urodzony 22 lutego 1814 roku w Przysusze. Dla uwiecznienia jego zasług tablicę tę kładą mieszkańcy miasta i powiatu Przysucha, 3 czerwca 1960 roku”.

To właśnie wydarzenie ściągnęło do Przysuchy, miasteczka od niedawna będącego siedzibą powiatu — położonego na drodze do Radomia — naukowców, turystów i zwykłych, żądnych ciekawości ludzi. Tam także ja byłem — miód pitem, a

działalność dość dawno i dlatego w miasteczku przez wiele lat panowała prosta nuda, nie było godnego tematu do rozmów.

Wprowadzić stare babcie próbują interpretować pewne zjawiska w zakresie tzw. „trudności wzrostu”, jako wynik działania diabła spod góry w Grudku, lecz już niewielu znajdują słuchaczy, którzy by w te legendy wierzyli.

Diabła już nie ma, a jego psoty wzięli na siebie ludzie — powiedział ktoś z mieszkańców.

Tę lapidarną myśl lepiej

ściągnęły mnóstwo wędrowców i ciekawych, a także wielu naukowców. Wtedy, gdy pilnie wysłuchiwało wykładów na temat „Postać Kolberga na tle dzieł narodu polskiego w II połowie XIX wieku — instruktor śpiewu na powiat, p. Stanisław Krasowski pośpiesznie układał słowa do znanej melodii „Poloneza”.

Nasz uczyony nie przewidział, a może z powodu skromności nie napisał żadnego hymnu pochwalnego o sobie. To zedanie powierzono więc panu Krasowskiemu, który wypełnił je też bez zarzutu.

chłopa, że go umrozi. Chłop powiedział że nie — i to się miało stać w 24 godziny. Chłop się dobrze ubrał i stał na mrozie. Mróz wszystkie siły wysadził, chłopu bardzo nogi zmarzły w butach. Mróz leci i pyta się chłopca na co zdjął buty. Chłop powiedział: „bardzo mi się nogi zapocichy w butach”. I przestał mróz już mrozić, bo przegrał, bo go chłop sztuką zarwał”.

odpisy str. 7



# ABY ŻYC



Nie tylko w dziedzinie sprawozdawczości sądowej zapisali się chwalebnie adwokaci warszawscy, o których wspominałem w poprzednim felietonie pt. „Palestra na rozdrożu” („Odgłosy” nr 28) wymieniając nazwiska Leona Okręta, Keniga, Drob niewskiego, Nadratowskiego, Nowogrodzkiego, Penetro wali wybitni obrońcy sądowni również inne tereny działalności kulturalnej, aby przypomnieć chociaż mecenasa Emila Breitera, który obok rozległej praktyki w zakresie spraw karnych znajdował czas również na uprawianie krytyki literackiej i uchodził za jednego z pierwszorzędnych znawców literatury współczesnej. Nie mniej zasłużony i głośny był mecenas Jan Dabrowski pisujący świetne felietony literackie w „Kurierze Porannym”, a później w „Robotniku”. A dalej, Mecenasa Jan Lesmana (Brzechwa), Gustaw Beylina, Cezary Jelenta, Gustaw Belmont i wielu innych, którzy poło-

żyli duże zasługi na polu piśmiennictwa.

Nasuwa się więc niepokojące pytanie, dlaczego dziś przedstawiciele palestry świecą nieobecnością w piśmiennictwie.

I gdyby tylko można było zatrzymać się na zarzucie braku aktywności publiczystycznej! Niestety, zawodo we organy adwokackie („Prawo i życie” nr 14-53) stwierdzają zupełny brak zainteresowań czytelnicych u panów mecenasów! W głośnym przed dwoma laty artykule „Adwokatura czeska na Godota” E. Witkowska skonałowała, że nawet zawodowe organy prasowe Naczelnej Rady Adwokackiej, jak „Biuletyn” i „Palestra” nie znajdują czytelników wśród adwokatów (którzy chyba powinni czytać je od deski do deski) i

zalegają całym stosami na stołach i szafach.

Czyżby nasi panowie mecenasi byli tak bardzo przeciążeni pracą zawodową, że nie starcza im już czasu na uważne przestudiowanie własnych pism prawniczych?

I tu chyba zbliżamy się do sedna sprawy i dotykamy głównej a drażliwej bo łączki dzisiejszej adwokatury, która w Polsce Ludowej ze szkoda dla zawodu obrończego i dolnej kultury narodowej obniżyła zastraszającą poziom poczynań i czy nie zaprzepaściła już dorobku i świetnych tradycji palestry polskiej?

Ministerstwo Sprawiedliwości w trosce o prawidłowy rozwój stanu obrończego niejednokrotnie ostrzegało, iż należy mieć na uwadze, aby „zespoły adwokackie nie wyrażały się w spółki czy grupy prywatnych kancelarii adwokackich, i aby pod szyldem zespołowości nie prowadziły niedozwolonej praktyki, nie uprawiały naganiactwa, nie stosowały jarmarczowego reklamiarstwa i wyżyskuu mniej wziętych kolegów”.

Również z grona starszych członków palestry dawały się słyszeć opinie, że „odstępstwa od zasad etycznych bynajmniej nie są rzadkie wśród adwokatów”, jak równie się odzywają się głosy o konieczności wzmoczenia czujności represji przeciwko naganiactwu, kramikarstwu, małostkowości, ignorancji i lekceważeniu zasad zawodowych. Pisałem o tym przed paru laty w „Nowej Kultu-rze” w felietonie „Adwokat i róża” i ściałnąłem na moją głowę gromy ze strony dziekana Rady Adwokackiej

w Łodzi. Nie powstrzymuje mnie to przed powtórnym uderzeniem na alarm.

Jedną z najbardziej palących dzisiejszych bolączek jest nadużywanie nieświadomości klientów przez wychwalanie się niektórych nielojalnych obrońców posiadanych rzekomo stosunkami, albo, jak to się bardziej malowniczo określa, „chodami” u władz sądowych i administracyjnych. Zdemoralizowani mitem rzekomych „chodów” klienci powiadają znakomitemu zasłużonemu mecenasowi, obrońcy w sprawach karnych, wręcz, w oczy: „Panie mecenasiu, co mi po pańskim talencie, wiedzy, doświadczeniu i krasomówstwie? Powiedz mi pan, mecenasiu, otwarcie: Masz pan „chody” w Prokuraturze, czy nie masz?”

Dziekani Rady Adwokackiej w jednym z miast woje wódzkie napisał odezwę wywieszoną w Pokoju Adwokackim w gmachu Sądu wzywającą adwokatów do walki (!) z zakorzenionym poglądem, jakoby adwokaci dysponowali „chodami” i mogli zrobić wszystko poza salą sądową. Jeżeli dodać do tego niewspółmierność zarobków członków zespołów adwokackich, gdzie dochody kształtują się dla paru adwokatów („rekinów”) w zespole w granicach kilkunastu tysięcy złotych miesięcznie, zaś reszta musi kontentować się skromną sumką, nie dochodzącą często do dwóch tysięcy, przy czym kierownik zespołu patrzy na to z obojętnością (zamiast pod rygorami odpowiedzialności dyscyplinar-

nej przydziałać możliwie równomiernie sprawy kolegom pracującym w zespole), to w całości otrzymuje się obraz współczesnej palestry polskiej niewesoły, a nawet ponury. Najbardziej niepokojące jest to, że wsel ka krytyka stosunków panujących w adwokaturze jest przysłowiowym grochem o ścianę, albo co najwyżej kończy się — obrazem na śmiółka, który odważył się na krytykę. Na wspomniany ostry artykuł E. Witkowskiej „Adwokatura czeka na Godota” w „Prawie i życiu”, analizujący ujemne strony dzisiejszej praktyki adwokackiej, ukazała się nadana odpowiedź w nr 10-11 „Palestry” z roku 1958, miesięczniku Naczelnej Rady Adwokackiej, utrzymana na tak niskim poziomie, że prawdopodobnie żadne z pism codziennych nie zakwalifikowałyby do druku podobnej elukubracji. W takich warunkach trudno mówić i pisać poważnie o poprawie istniejącego stanu rzeczy, skoro naczelny organ palestry, zamiast w imię niu całego stanu uderzyć się w pierś, podejmuje bezna-dziejną i nieudolną w dodatku obronę sprawy niesłusz-

nej i przegranej. Wprawdzie sentencja rzymska powiada: „Primum vivere deinde philosophari”, jednak dzisiejsze palestrackie hasło „aby żyć” jest też chyba nie do przyjęcia.

Czytelnicy pism codziennych zwracając uwagę, że proszą nie zamieszczać sprawozdań z procesów sądowych i nie wychwalać, jak dawniej, popisów oratorskich świetnych mówców. Rzecz w tym, że widocznie takich złotoustych oratorów (jak dawniej — Patek, Pełpowski, Niedzielski, Śmiatowski, Jarosz, Axer, Grek, Dwernicki i wielu, wielu innych) dziś nie dopuszcza się zbyt często do stawiania przed kratkami, gdyż nie mają oni „chodów”. I dlatego dziennikarze nie mają okazji do pisania panegryfów.

A co do poprawy istniejącego stanu rzeczy, to wydaje się, że organy samorządu zawodowego powinny poważnie, przemyśleć środki zaradcze. Wysokie zarobki nie powinny przyćmiewać wysokich ambicji. Samym groszorbóstwem nie odzyska się dawnych świetnych tradycji palestry polskiej.



ZA TYDZIEŃ ARTYKUL ZYGMUNTA ALBRECHTA POLEMIZUJĄCY Z FELIETONAMI W. RYMKIEWICZA

## Nasza szkoła

Z okazji śmierci naturalnej dyskusji o sporcie, czujemy się w obowiązku wygłosić krótką mowę pogrzebową. Obyczaj bowiem każe w ten sposób kończyć wszelką egzystencję.

Kazimierz Dziewanowski z wrodzona sobie tudzież nabyta a zawsze błyskotliwa inteligencja, o której posiadaniu Czytelnika skrupulatnie sam informuje — łaskaw był zauważyć, że nasza dyskusja przypomina sam sport, jako że też jest irracjonalna, niezemu nie służy, i niezego nie zmienia. To prawda. Pragne wszakże zwrócić Jego uwagę na fakt, że brali w niej udział sami zawodowcy. Ludzie, którzy z tego właśnie sportu żyją. A wszelkie poczynania podejmowane dla chleba mają dla tych, którzy je podejmują, głęboki sens. Rzekłbym wymierny. Gdyby pan Dziewanowski trudnił się podnoszeniem ciężarów, też nie wypadaloby — właśnie jemu — poddawać w wątpliwość sensu tej czynności.

Ale ciekawe jest to właśnie, że w dyskusji wzięli udział sami zawodowcy. Sport dyskusyjny niewiele ma amatorów, mimo że wyniki olimpijskie łatwo tu jest uzyskać bez treningów, obrobów kondycyjnych, wyskoków apanażów i zwiedzania świata na koszt Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,

Brak amatorskiego masowego zaplecza nie zmusza zawodowców do skakania dwukrotnie wyżej.

W ten sposób obroniliśmy sens dyskusji i oceniliśmy jej poziom. Obecnie zajmujemy się jej treścią.

### WOJCIECH GIELŻYŃSKI

dowodził, że sport rodzi intelektualistów. Dzieje się to tak. Uprawiasz sport. Nie uzyskujesz medalu na tej tam olimpiadzie, bo nie jesteś zawodowcem. Przystajesz z braku bodźców uprawiać sport. Stajesz się antyspor-



townym, ergo intelektualista. Wojciech twierdził, że sport wyczynowy zabija sport masowy, po czym sam się zabija i w ten sposób na placu zostają same trupy. Wszystkiemu zaś zawinił Zatopek.

### WIESŁAW GÓRNICKI

uznał sport za zjawisko z kręgu psychosocjologii patologicznej, czyli przejaw masowego zezwierzczenia. Czołowe okazy hodowane są w umyślnych państwowych zwierznicach. Górnicki miał za złe, że tłum znajduje sobie takich tandetnych bohaterów miast lepszych z cenzurami naukowymi i domy-tych. Uważał też, że hazard, walkę i wrzaski lepiej uprawiać przy ruletce. Eleganciej i taniej.

W sumie osobnik pryncypialny, emocjonalnie zaangażowany, podporządkowujący praktykę życiową swym ideałom i antyideałom. Lek-

ka skłonność do fanatycznej zacietrzewienia właściwa wszystkim zwalczającym fanatyzm.

### TADEUSZ GUTKOWSKI

ujął sprawę w szerokim aspekcie: od starogreckich olimpiad do turystyki kosmicznej. Twierdził, że sport zawsze będzie miał wyższość nad teatrem, gdyż w teatrze wiadomo, że Otello zadusi Desdemone, a w sporcie nigdy nie wiadomo, kto kogo zadusi. Ale to nieprawda, bo ci, którzy nie wiedzą, kto kogo i za co zadusi Desde-

# ZAWÓD - NIEZAWÓD

## czyli krótka mowa pogrzebowa z okazji śmierci dyskusji o sporcie

monie, w ogóle nie chodzą na Otella.

Gutkowski przeprowadził paralelę: teatr zawodowy — sport wyczynowy, sport amatorski — także teatr. Nie wiadomo wszakże, czy chodziło mu o to, żeby zespoły amatorskie przestały parodiować prawdziwy teatr, czy o to, żeby zawodowa parodia sportu przestała udawać amatorskość.

### STANISŁAW DYGAT

poza znakomitą nazwiskiem zadeklarował miłość gorącą i czystą do sportu. Nadto insynuował Chylińskiego — głowy na stojaczku — obraz naszego popopptomka, który może być bardzo nerwowy, bo nie będzie miał czym kopać piłki. Z twierdzeniem tym trudno się zgodzić, bo w tych czasach beda już pewno dobre pigułki na nerwy. A i głową można uprawiać sport. Odpowiedni dźwig może podosić takowa ze stojaczka i

### KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Autor dał szeroki przegląd swoich upodobań życiowych. Zaprezentował też w skrócie swą autobiografię. Ujawnił, że zazdrości dyskutantom Górnickiemu skutera i poziomu kulturalnego. Głośni wolność człowieka do oddawania się takim niesensownym rozrywkom, na jakie ów ma ochotę. Wtracił też, że coś z tego, iż poniektórzy kibice sportowi mają bzika, skoro niektórzy miłośnicy

rozgrywać nią partyjkę bilardu.

Przedstawiwszy przebieg dyskusji redakcja stwierdza, że nie może nic ująć ani dodać. Jest to najwyższa miara samozachwytu.

Jedno denerwuje. Gdybyśmy np. napisali, że adwokaci jako tacy są w ogóle niepotrzebni, że bronienie ludzi w sądach jest barbarzyńska bzura, albo to samo o dentystach i leczeniu zębów, albo o kolejarzach i podróżowaniu pociągami — zacepienie profesje zasypa-

ogólnie krzywdzące. Parę tygodni temu wyciąłem sobie z gazety list takiego sportowca o nazwisku Pawłowski.

Ow „amator” pisze, że przedstawił aż zaświadczenie lekarskie, żeby wolno mu było nie trenować. Mimo to jakoś strasznie go ukarał za to, że nie trenował. Ale on się poprawił i mimo, że z powodu choroby nie trenował, nie czuje się przestępca, jakim byłby wtedy, gdyby nie trenował bez urzędowego lekarskiego zwolnienia.

Z listu tego dowiadujemy się, że w sporcie tkwią nie tylko problemy abstrakcyjne. Ze temat wymaga pedjacja problematyki przyziemnej w imię troski o człowieka i zmuszenia sportowców wodzów do respektowania obowiązujących w Polsce ustaw. Ustaw powiadających, że człowiek chory ma prawo nie pracować. Każdemu pracownikowi należy się ochrona jego praw. Czas już założyć Związek Zawodowy Sportowców Wyczynowych. My tu gadu gadu odkrywamy Amerykę, że uprawianie wyczynowe sportu to zawód, a okazuje się, że to nie zawód, ale niewolnictwo!



Redakcja wyraża podziękowanie wszystkim, którzy zabrali głos w dyskusji o sporcie i zarazem ubolewanie, że w kwestiach merytorycznych nie ma nich, ale to nie do powiedzenia.

BELFER







# WIESŁAW JAŁDZYŃSKI

## OKOLICA starszego KOLEGI

Po drugiej stronie wzgórza dynek Liceum im. St. Żeromskiego, wystawiony w pierwszej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znajduje się tablica z portretami członków i krótkimi życiorysami uczniów.

### Przed nami noc ciemna...

Drukujemy ostatni rozdział „Okolice starszego kolegi” zamykający przedwojenne dzieje bohatera powieści „Odrodzenie”. Powieść, drukowana z dużymi skrótami w „Odrodzeniu” ukazuje się w wydaniu książkowym nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Zołnierzyk ciągnący samotnie na wschód, brudny i nie ogolony, zapewniał ich z ręką na sercu: — Cały pułk rozbity pod Czestochową, tylko trzech nas zostało... ledwo my się dobili w te strony! U nich więcej czołgów niż u nas człowieka, wy była jeszcze lepi wytykali, jakby wam tysiąc bombowców dało po ped!

Justyn znał już na pamięć te komunikaty wojenne, roznezone bezinteresownie po kraju przez opuszczonych, bezpieczeństwa żołnierzy, Słuchał jednak uważnie nazw miejscowości. W systemie aprowizacyjnym, który opracował wspólnie z Chorwatem, nazwy miast, wstawionych bojami, odgrywały rolę bodaj decydującą. Przez pierwsze dni wojny obaj świeżo upieczeni obrońcy ojczyzny głodowali. Mundury dostali za darmo, karabiny znaleźli bez większego trudu w lesie. Wystrojeni w ciężkie helmy, uwierające czaszki, obciążeni amunicją, mapami, maskami gazowymi, bagnietami i menażkami, wleki się na pół przystępni, z głodu i niewyspania przez puste pola. Kradli rzepę, kapustę, marchew, brukiew, wykrawali miększy z dyni, strząsali jabłka z drzew i jedli te mieszankę warzywniczo-owocową jakby od urodzenia byli jaroskami.

Dopiero na lubelszczyźnie nauczyli się kłamać. Justyn obowiązywał Chorwatowi głowę, ręce, szyję, pierś, brudnym bandażem, zależnie od okoliczności i prowadził niebezpieczną ofiarę wojny do najbliższej kuchni polowej. Kucharze dali się poznać od jak najlepszej strony. Wystarczyło tylko otrzeć niewidoczne łzy, wystarczyło powiedzieć: ta noga pod Kutnem rąbnięta, ręka pod Działdowem, szyję drasnęła sierście w Borach Tucholskich, a już z nad dymiącego kotła wychylała się twarz czerwona i żywciska.

— Takie strajdy, a już dla ty Polskiej krwi nie żałują! Mata za to wołowiny, świeżutka!

Nazwy miast wymieniane bez oglądania się na chronologię wojny i geograficę ojczystego kraju, ze stawione z wynędzniałą twarzą Chorwata, pozwalały Justynowi wymienić rany przyjaciela na gorącą zupę, gularz, konserwy, papierosy, a nawet czekoladę.

Samotny żołnierz przyśiadł na pieńku.

— Macie co popalić?

— Znajdzie się, kolego! Chorwat podsunął żołnierzowi srebrną papierosnicę. Słońce szło szybko w górę, wokoło milczał las zmęczony upalnym latem.

— Dokąd zapieprzacie, chłopaki?

— Armia koncentruje się niedaleko stąd... za tym lasem — odpowiedział Justyn — a kolega?

— Odbijam na Białystok, ziemniaki kopać. Jak się cała armia koncentruje ra-

zem z wami, to se dacie radę beze mnie. Cześć!

Zołnierz zniknął w gęstwinie. Obaj przyjaciele od poczywali nadal w przydrożnym rowie.

— Nie będę cię bandażował, co?

— Zarcia mamy dość — ciągnął dalej Justyn — to się nawet dobrze składa, dzisiaj są moje urodziny, dziewiąty wrzesień, historyczna data bracie, podaj jubilatowi czekoladę.

— Nie ma.

— O ile wiem, rano jeszcze była, podjadłeś sobie, ce?

— Nie ma, mówię ci przecież.

Justyn podłożył ręce pod głowę i patrzył rozmarzony w niebo.

— No to daj już te kiełbasę, jestem dziś w huronie.

— Nie ma.

— Konserw też nie ma?

— Nie ma.

— A sucharów?

— Nie ma.

— A plecak jest?

— Jest, ale nie nasz.

Osiemnaścioletni jubilat spadł błyskawicznie na ziemię.

— Jakto nie nasz, gdzie jest nasz?

— Odbił na Białystok, ziemniaki kopać — westchnął Chorwat — Heraklit naucza, że choroba pozwala poznać słodycz zdrowia, zło — dobra, głód sytości, a zmęczenie wypoczynku.

Justyn zarepetował karabin i oddał sześć strzałów w stronę Białegostoku. Nie mógł przeboleć utraty szpiżarni zamkniętej w żołnierskim plecaku. Po tygodniu forsownych marszów i sromotnych ucieczek przed samolotami, po siedmiu złe przespanych nocach, cała problematyka drugiej wojny światowej mieściła się bez trudu w skurczonym żołądku.

— Ładno urodziny, bandaż też nam ten kmiotek buchnął?

Chorwat nie zdążył odpowiedzieć. Z lasu wypadła szerokim półkolem tyraliera piechoty. Mały, pękaty sierżant, wyraźnie rozczarowany pierwszy dopadł obu przyjaciół.

— Wyście strzelali, kurdupe!

Justyn rozejrzył się niespokojnie. Ponure twarze żołnierzy nie wroziły nic dobrego. Kłamać? Jakże kłamać, kiedy puste tuski leżały w rowie.

— Tak jest, panie sierżanciel! Ja strzelałem.

— A gdzie nieprzyjaciół? Uciekli ze strachu przed takimi wojakami — w głosie sierżanta wyczuwał Justyn z trudem powstrzymaną wściekłość.

— To nie był wróg, panie sierżanciel, tylko jeden żołnierz. Plecak nam ukradł — wyjaśnił Chorwat.

— Z aprowizacją — dodał Justyn — zastawił nas bez środków do życia.

Sierżant westchnął ciężko.

— Jeszcze nie widziałem takiej gównianej wojny! Pół kompanii zatrudnił, żeby im plecaka szukać. Zabrać to wojsko świętej Zyty!

Oddział pomaszzerował w las. Dwaj byli żołnierze, po bawieni broni i amunicją, wlekli się smutno ze spuszczonej głową.

— Wszystko przez ciebie — syknął Chorwat.

— Jakbyś miał urodziny,

też byś strzelał za tym chałmsem.

— On się mógł pomylić, plecaki są jednakowe.

Po kilkunastu minutach marszu znaleźli się w obozie jakiegoś większego ugrupowania, może pułku, a może dywizji. Namioty, pomysłowe szafasy, mnóstwo napisów, wskazujących drogę do poszczególnych jednostek, wozy ustawione w równe szeregi, kilkanaście armat starannie zamaskowanych — nareszcie prawdziwe polskie wojsko.

— Miałem dobre przecucie z tą koncentracją, co? — Justyn zacierał ręce.

Spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Owšem, zjedli smaczny obiad, wyfasowali suchy prowiant, ale broni nie otrzymali spowrotem. Na domiar złego pojawili

się mały sierżant, rozkazał zapakować się na wóz i odprawił obu przyjaciół po ojcowsku.

— Powiniennem wam dupcie skroić za ten fałszywy alarm, ale pan kapitan nie pozwolił. Macie szczęście, kurdupe. Weźcie — wskazał im w ręce paczki papierosów — przy trupach chce się palić.

W godzinę później dwaj byli żołnierze frontowi próbowali się zainstalować w ciasnej izbie grabarza. Grabarz był młody, poszedł więc na wojnę, ale grabarza na wojnie potrzeba, musieli go więc zastąpić.

— No tośmy zaawansowali — odezwał się Justyn zdejmując buty — mamy wyraźnego pecha. Z pierwszej linii frontu na głębokie tyły.

— Nie obwiniaj okoliczności, gdy sam jesteś sprawcą swoich nieszczęść, powiedział Katon Starszy. Jedno jest pewne na tym świecie, guzik ci dać do ręki, nie karabin.

Justyn otworzył okno. Nad miasteczkiem wisiła wrzesniowa noc, gdzieś daleko grzniały działa.

— Czego ten pies tak wyje — zatępkował się — nie wiesz przypadkiem?

— Mrze ktoś umarł przypadkiem, psy to wyczują.

— Glupsi starożytni fio-

zofie, za daleko, żeby wyczuł, ma zresztą pod wiatr. Zobacz lepiej co jest za tym przepierzeniem, może jakiś wyrodniejzy pokoiak?

Chorwat podłożył się niechętnie i zniknął za drzwiami. Wrocił natychmiast, blady jak kreda.

— Trupy są za przepierzeniem, daj co zapalę.

— Dużo trupów?

— Nie liczyłem, ale wystarczy... Zasnęli dopiero nad ranem, kiedy zmęczenie pokonało strach. Zbudził ich nowy szef, kapral służby sanitarnej.

— Ruszać się, ruszać, jeden z drugim, trumienki przyjechały. Czego się kręcisz jak pies z ogniem — kapral spoglądał niechętnie na Chorwata, który szukał okularów — żebyś tak ty po śmierci do trumny nie pasował! Inteligencja, psia krew, a nad umrzykiem liłości nie mają!

Pod oknem stał wóz wyposażony sosenowymi trumienami. Na każdej z nich wypisał stolarz odpowiednią cyfrę. Rzeczą polegała na tym, aby nieobozczyka numer jeden, złożyć do trumny numer jeden.

W połowie miesiąca jechali, jak zwykle chłopską furą na cmentarz. Koń włókł się wolno, noga za nogą, trumna była ciężka, ale jesień piękna. Dni, chociaż wciąż jeszcze ciepłe, wstały białe, ułtane z lekko kolorów i pajęczyn. Świeże mogiły, proste krzyże, godziły się jakos z u-

Co jakiś czas przystawali, żeby odpocząć. Justyn rozkładał mapę sztabową, badał szczegółowo topografię terenu i po gruntownej analizie sytuacji wyznaczał dalszy kierunek marszu.

— Mapa nie kłamie, bracie! Z mapy wynika, że atak nastąpi w rojenie Kocka, Walimy!

Ale Kock zajęli Niemcy. Zawrócili sprawnie do lasu. Justyn rozłożył znowu mapę.

— Jasne! Co znaczy jednak zdenerwowanie! Zapomniałem o zasadniczych założeniach każdego manewru. Nasza armia siedzi w rejonie wsi Krupy. Krupy, kanujesz?

Chorwat, który miał już dość szukania wielkiej grupy uderzeniowej, mruknął pod nosem.

— Znałeś Krupę?

Justyn nie dosłyszał pytania.

— Widzisz te kreseczki? To są bagna nad Wieprzem, wymarzone miejsce na koncentrację. Żaden szkop tamtydy nie przejdzie. Walimy!

— A może lepiej rozejść się? — w głosie Chorwata zadrgała złość — ty na lewo, ja na prawo i wzmniemy armie niemiecką w dwa ognie.

Ostatecznie jednak pomaszzerowali zgodnie w stronę wielkiego ugrupowania. Po południu przecięli boczną szosę, szli jakiś czas łąką i stanęli wreszcie nad Wieprzem.

— Spocznij, palić wolno — Justyn rzucił plecak na trawę.

Dzień był ciepły, prawie gorący. Rzeka płynęła cicho, cisza wisiła nad okolicą. Drzewa zastygły, umilkła wysoka trawa, zasnęły ptaki i nikt się nie pojawiał na szosie.

— Cicho jak na wojnie — próbował zażartować Justyn.

Jedli stwardniały chleb razowy z kiełbasą, wreszcie zasnęli wbrew woli. Obudzili ich głośny turkot samochodów pancernych. Pokrzykiwali wstając woźnice z fajkami w zębach, ktoś grał na harmonii. Tabor wyładował tak swojsko, że przez chwilę zapomnieli o niebezpieczeństwie. Pierwszy oorzytomniał Justyn. Chwytał karabin, plecak i czołgał się z tym w stronę rzeki. Chorwat gubił dwukrotnie okulary, wracał po nie sapać ciężko. Przebiegli korzytem kilkadziesiąt kroków i ukryli się w gęstej olszynie. Justyn zajął odpowiednie stanowisko ogniowe i zarepetował karabin.

— Nie strzelaj krętynie — Chorwat szczeptał zębami — nie mamy żadnych możliwości manewrowania!

Wozy przystanąły. Kilku żołnierzy niemieckich z wiaderkami podbiegło w stronę rzeki. I tym razem okazał się Justyn więcej energii. Skoczył do wody bez słowa. Chorwat za nim i w ten sposób wykorzystali jedyną szansę manewrowania. Nim żołnierze niemieccy zdolali dobiec do rzeki, zniknęli w gęstej trawie po drugiej stronie. Manewr powiódł się znakomicie, wysuszony latem Wieprz nie był głęboki.

Leżeli bez ruchu przysłuchując się rozmowie Niemców.

— Rozumiesz co?

— Wszystko, a ty?

— Ja też, słuchajmy, może będzie jaka tajemnica.

Jednak poza informacjami na temat zdobycznych kur, gęsi, kaczek, indyków i świń, innych tajemnic taboru nie poznali.

Wozy ruszyły, zawarowały motory samochodów pancernych. Dwaj polscy żołnierze powlekli się w stronę lasu. Po drodze ukopali bagnietami ziemniaków. Może pod wpływem podsłuchanej rozmowy, a może na skutek gwałtownego odprężenia, poczuł głód. Tym czasem stan szpiżarni, zamkniętej w plecaku Chorwata przedstawiał się opłakanie. Woda rozpuściła papier, cukier wymięsznął się z solą i pieprzem, czekolada pływawa w rozcieńczonym chlebie. Z nieprzyjem-

nej mazi ocalili tylko kawalek kiełbasy.

— Będę cię musiał chyba znowu bandażować — odezwał się Justyn — inaczej nie wyżyjemy.

— Na razie trzeba omijać wieś, gdyż jak się już przekonaliśmy z nieznanymi nam bliżej powodów, znaleźli się w tej okolicy Niemcy. Nie martw się, byle tylko dojść do Krup.

Chorwat milczał w dalszym ciągu.

— Ujmując rzecz od strony taktyki w boju zachowaliśmy się nienagannie, sam porucznik Świątek marnego słowa by nie powiedział. Tylko, że na razie nie mamy się komu zameldować.

Chorwat i tym razem milczał.

Nadciągał chłodny wieczór. Przemoczone buty, ubrania i plecaki ciążyły, karabiny uciskały plecy, pękate ładownice obciążały boleśnie biodra. Na krawędzi lasu próbowali zapalić ognisko, nie znaleźli jednak suchej zapalki. Justyn znowu rozłożył mapę, chciał ustalić dokładnie odległość, jaka dzieliła ich jeszcze od miejsca koncentracji grupy uderzeniowej. Ale Chorwat wyrwał mu mapę i podarł na strzępy.

— Polski już nie ma, cym bałę! Poszła w kibini babuszek — rozplakał się.

— Ja rozumiem każdą dykusję — Justynowi drżały usta — ale kulturalną.

Obrażeni na siebie wrwali osobno wrzos, osobno cieli bagnietami puszyste gązienie sosny, osobno wsunęli się w legowiska i próbowali zasnąć. Nad ranem znaleźli ich wystraszone pastuchy wiejskie. Bredzili nieprzytomnie, nie poznawali nawet samych siebie. Pastuch popędził do wsi. Niedługo potem nadjechał chłopski wóz. Żołnierzy złożono w półkoszku, wyłożonym sianem i nakryto ciepłymi kocami.

Leżeli w wiejskiej izbie przeszło tydzień i — chcąc nie chcąc — przeszli wszystkie zabiegi, jakie znała podówczas medycyna ludowa znad Wieprza. Bańki cięte i zwykle, upuszczenie krwi przez podcięcie, lub też przy pomocy pijawek, nacieranie psim szmalcem lub terpentyną, gorące kąpiele ziołowe w bałi i modlitwy, niekończące się modlitwy.

Bardziej wytrzymały Justyn, przytomny już notował w pamięci każdy szczegół izby. Zaparowane okna, obrazy świętych, filująca Impka naftowa, kobieta, która śpiewała smutną piosenkę.

Ty umrzesz, ja umre, Oboje umrzemy, to jednym się grobecku pochować każemy.

Kiedy opuszczali więc zaczętnął się mglisty październik. Wsparci na kijach powędrowali na wschód. Z daleka przypominali zwykłych łazików wiejskich. Z bliska natomiast można było dostrzec pewne subtelnosci ich garderoby. Justyn miał na sobie kurtkę składającą się w gruncie rzeczy z samych łan. Nosił ją wcześniej kilka pokoleń gromadzkich pastuchów. Podobne koleje przesyły i spodnie. Ale zato jego nogi zdobliły eleganckie, nowe lakierki, jakie można oglądać tylko na ekskluzywnych bałach. Chorwata wystroiłi liłościwi chłopcy w kurtkę od tego samego krawca, ale już wytworne, saflanowe bumy koloru czarnego, własność samego rabina z Kocka, pozwalały sądzić, że chudy i piegawaty wyrostek to jednak ktoś więcej niż wiejska łazega.

Tuż za gościnną wsią przystanąli na chwilę. Justyn chwycił Chorwata za rękę.

— Patrz, mapa nie kłamała, a jednak doszliśmy! Chorwat przetarł okulary. Zatarły już trochę napisy na tablicy dał się jeszcze odczytać.

— Wieś Krupy. Rozpoznamy manewr z nad Wieprza, krętynie żalony!

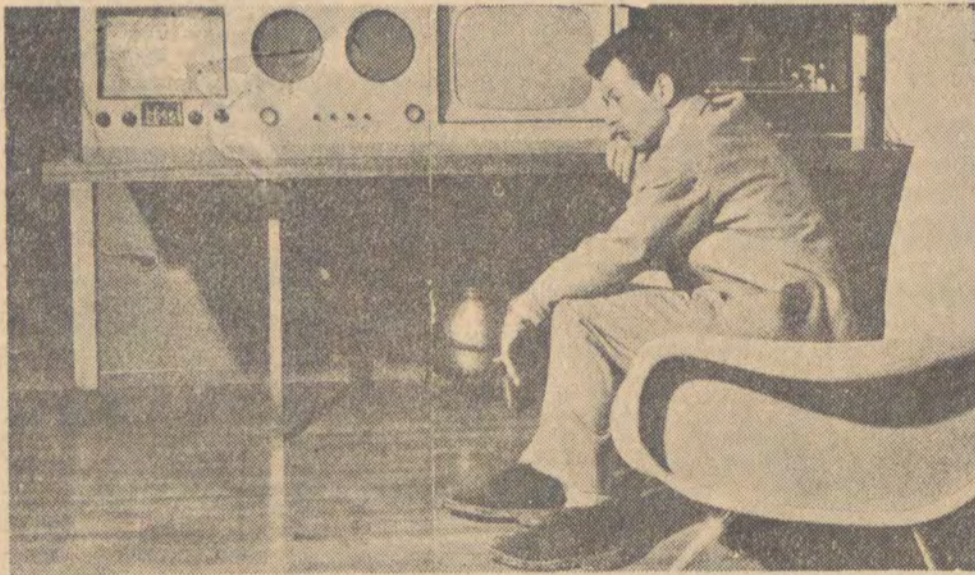
KONIEC





# Teatr 100.000 widzów w Łodzi

Proszę sobie wyobrazić teatr, na widowni którego zasiada ponad 100.000 widzów. Nie, moi mili, takiego teatru nigdzie nie wybudowano, ale on istnieje. Istnieje i działa w Łodzi! Zresztą to nie tylko teatr, to gazeta o nakładzie 100.000, to magazyn popularno-naukowy, to estrada satyryczna, to... to jednym słowem telewizja. Tych 100.000 widzów ma ona w naszym mieście już dziś, a co miesiąc przybywa ich średnio ponad 5 tysięcy. Liczymy to w ten sposób: w miesiącach zimowych, wczesną wiosną i jesienią rejestrujemy w Łodzi dla Łodzi i okręgu łódzkiego ponad 1.300 telewizorów miesięcznie. Na jeden telewizor liczymy skromnie 4 odbiorców, choć na pewno jest ich więcej. A więc rośnie nam telewizyjna widownia z godziny na godzinę! Na dzień 30 czerwca bieżącego roku mieliśmy w Łodzi zarejestrowanych 20.992 odbiorców telewizyjnych, zaś w powiecie łódzkim czyli w okolicy najbliższej 3.118. I pomyśleć, że jeszcze trzy, cztery lata temu telewizja była w Łodzi nowością zupełną. Dziś weszła ona niejako w krew i stała się zjawiskiem z dziedziny kultury tak niezbędnym jak kiedyś radio. A radio ustąpiło miejsca telewizji w dziedzinie atrakcyjności, choć na pewno jeszcze długo nie straci swego znaczenia w skalę całego kraju. Stało się tak dzięki taniości odbiorników radiowych. Nie należą już do rzadkości domy, w których są dwa radia: duże w pokoju i np. uniwersalna „Szarotka” w kuchni, czy w drugim pokoju. A radia samochodowe? Radio spowolniało. Tematem marzeń człowieka nowoczesnego stał się telewizor. Teatr w domu, kronika filmowa i film w domu, bieżąca informacja obrazowo uzupełniona wy-



On już dziś nigdzie nie pójdzie. Ma wspaniałe radio, telewizor i adapter stereofoniczny. Wiadomości, film i teatr, koncert symfoniczny i jazz w sieni w domu. Czy to rozszerza, czy zawęża horyzonty myślowe nowoczesnego człowieka?

kresami i planszami przemawiającymi bardziej niż słowo mówione — w domu, najważniejsze wydarzenia chwili, mecze, zawody — widziane z najlepszej pozycji — w domu. Leć na łeb frekwencja w teatrach? Leć. W kinach? Leć... Powiada ktoś... „To tylko zjawiska początku rozwoju telewizji. Nie należy się nimi niepokoić”. Przynajmniej na razie dopóki do telewizji nie wkroczył kolor...  
W kinach zaczynamy mieć cinerama i circarama, stereofonię i filmy zapachowe...  
Zgoda, kino ratuje się jak może. A telewizja idzie trop w trop. Oto już w Warszawie próbujemy aparaty telewizji kolorowej i podobno wyniki są wcale niezłe. Kalwiński nadajnik Marcjonia przystosowany został już z góry przez konstruktorów do przesyłania obrazu barwnego...  
Mistrzowie naszego teatru powiadają: „teatr zwycięży

i taki!” A my zaczynamy w to wątpić... Bo jak dotąd zwycięża teatr i w interesie telewizji np. komunikacja miejska. Godzinę jechać do teatru, godzinę wracać? A po co kiedy w telewizji w tym czasie (wygodnie i siebie w domu) zobaczymy inną inscenizację lub film. Kiedy zaś teatr popadnie w finansowe tarapaty i tak sprzeda widowisko w telewizji i zobaczy się je powiemy trzy miesiące później. Nie wielkiego! Żadna strata! Bo w tak zwanych sferach kulturalnych rządziej mówi się dziś, tak: byłeś na premierze w „Nowym”? A częściej: „Oglądałeś wczoraj wieczorem w telewizji „Kobracę”? Kiedyś jeden z czołowych scenarzystów naszego filmu zapytany w wywiadzie telewizyjnym co sądzi o współpracy z tą instytucją powiedział: „Cóż, wszyscy tu kiedyś przyjdziemy”.  
A zatem, moi mili, rysuje

się przed nami coś, co nasi przodkowie wymyślali jeno w fantastycznych powieściach. Zupełnie nowe formy życia kulturalnego, nowe formy tzw. percepcji dóbr duchowych: małe, indywidualne, a jednocześnie olbrzymie przez swą wielomilionową widownię... Z czasem stworzy się z tego zupełnie nowy człowiek...  
Proces ten postępuje już dziś. Statystycznie wygląda tak: Najwięcej kupuje się telewizorów stosunkowo tanich: 14 całowych „Turkusów” i „Neptunów”, na dalszych miejscach idą 21-calowe „Oriony” i „Narcissy”. Kupuje się i instaluje... Co dzień, co godzina... Za dwa, trzy lata, spotęgają się zjawiska o których ad hoc mówimy powyżej. Czy nasze uwagi są słuszne? Bądźcie uprzejmi sami stwierdzić na własnym przykładzie. My to już zrobiliśmy. Wynik raczej pozytywny...



W ostatnich numerach „Życia literackiego” i „Współczesności” prezentują swe prace łódzcy pisarze Bernard Sztajnert (proza) i J. M. Rymkiewicz (dramat). Młody grafik łódzki Kazimierz Mozolewski opublikował w ostatnich numerach „Szpilek” kilka fikuś-

### SZKOŁA PIOSENKI

To naprawdę dobry pomysł. Powstająca pod wysokim protektoratem Wydziału Kultury, Estrady i Expressu — szkoła piosenki nie czyni co prawda z Łodzi miasta absolutnie rozśpiewanego, ale nauczyła przynajmniej kilku Polaków piosenek. A to już dużo.

### WARTO PRZECZYTAĆ

Państwowe Wydawnictwo Naukowe wypuściło ostatnio na rynek rewelacyjną pasjonującą książkę. Tytuł „Era robotów”. Autor, znany francuski konstruktor słynnych „zwierząt elektronowych” Albert Ducrocq kreśli sugestywny obraz nowego świata techniki cybernetycznej i perspektyw, jakie otwierają się przed współczesnym człowiekiem. A w ogóle książka jest ewenementem wydawniczym. Nie było bowiem dotychczas publikacji, która by w sposób jasny i (co jest bardzo ważne) przystępny ogarnęła sprawy konstrukcji i zasad działania wszelkich mózgow elektronowych czy różnego rodzaju maszyn liczących.



W łódzkich szkołach jedna izba lekcyjną przypadają przeciętnie 60-70 uczniów. Zjawisku temu towarzyszy rzecz prosta zwię-

### DOBRE NIE JEST...

znienie tzw. współczynnika zmienności. Większość łódzkich szkół pracuje na dwie zmiany.

### RADZIECCY GOŚCIE

Tym razem do jędwódtwa Zespołu Pieśni i Tańca Północnej Grupy Wojsk Radzieckich. Występy naszych przyjaciół spotykały się wszędzie w ubiegłym tygodniu w większych miastach naszego wo-

### WARTO ZOBACZYĆ

Kilka dni temu otwarto w Salonie Wystawowym CBWA (Piotrkowska 102) wystawę malarstwa Henryka Plicha, którą naszym czytelnikom gorąco polecamy. Ekspozycja zawiera kilka-

## Disney pożarty

Filmy Walta Disneya z cyklu „Disneyland” nadawane przez naszą telewizję przez szereg kolejnych niedziel, oglądaliśmy — można to śmiało założyć — dosłownie wszyscy. To był szlagier, to była niezawodna pozycja programu, na którą się liczyli wszyscy. I choć od chwili krachu przepowiedni o końcu świata (miał być 14 a nie był, w związku z czym pokazała ilość popularnego lokalnego „Pacyfiku”, o którym traktuje w niniejszym numerze E. Etlar nie ma za co pojechać na urlop) do przepowiedni odnosimy się raczej nieufnie, to jednak — Walt Disney pracuje dla te-le-wi-zji.

ścisłe i — jak się wydaje — na stałe związał się z telewizją. Dla niej robi swoje kreskówki, zresztą — jak słyszymy — oparte w znacznej części na powieściach Vernego. Odnotowujemy ten fakt nie bez zadumy i znów wracamy myślą do przepowiedni Romm — telewizja pożre film, zastąpi go. I choć od chwili krachu przepowiedni o końcu świata (miał być 14 a nie był, w związku z czym pokazała ilość popularnego lokalnego „Pacyfiku”, o którym traktuje w niniejszym numerze E. Etlar nie ma za co pojechać na urlop) do przepowiedni odnosimy się raczej nieufnie, to jednak — Walt Disney pracuje dla te-le-wi-zji.

## W tym tygodniu obejrzymy

- Mimo, iż objętościowo program telewizji na najbliższe trzy dni nie jest zbyt obszerny to jednak znajduje się w nim szereg ciekawych pozycji. Zamieszczamy ten program w całości dając tym samym możliwość wyboru, bo niczego szczególnie polecać w okresie wakacji nie chcielibyśmy.
- 21 LIPCA, CZWARTEK**  
16.40 Łódzka Kronika Filmowa. 17 Uroczysty koncert z okazji Święta Odrodzenia — transmisja z sali kongresowej PKiN. 20.00 Dziennik telewizyjny. 20.35 Film fabularny prod. polskiej „Tysiąc talarów”.
- 22 LIPCA, PIĄTEK**  
18.00 „W lipcowe święto” re-
- portaż z Warszawy. Łodzi i Katowice. 20.00 Dziennik telewizyjny z Warszawy. 20.45 Film fabularny prod. polskiej „Cafe pod Młogą”. 22.15 Program rozrywkowy „Towarzyszyła nam piosenka”.
- 23 LIPCA, SOBOTA**  
18.10 „Trzy starty”, film fabularny prod. polskiej dla dzieci. 19.45 „Z kamerą w górach Chińskiej Republiki Ludowej” — kolejny montaż z cyklu „W krajach socjalizmu”. 20.00 Dziennik telewizyjny. 20.35 Program tygodnia. 20.35 Znakomity film radziecki „Bal Jada o żołnierzu” (dozwolony od lat 14) 22.30 Ostatnie wiadomości. 22.25 „Co kto lubi”, — program rozrywkowy.

**SEDNO RZECZY**  
**MARIAN PIECHAL**

# Natura i przyroda

Czy to nie jest jedno i to samo? Nie, nie jest to samo. Z pozorów wydaje się, że to samo i często w potocznej mowie mieszamy te dwa pojęcia, które jednak w istocie bardzo się różnią.

Już w przedwojennej „Ilustrowanej Encyklopedii Powszechnej”, opracowanej przez dra M. J. Wachtla pod hasłem „Natura” mamy subtelne rozróżnienie dwu jej pojęć: 1) „wewnętrzna istota czegoś (np. człowieka)” i 2) „przyroda”. Trzy hasła zaś „Przyroda” mamy objaśnienie: „Cały świat otaczający, oprócz wytworzeń kulturalnej i cywilizacyj-

zmiennalnej. Przyrodę człowiek zmienia i przyroda sama się zmienia, natomiast naturę człowiek zmienić nie może, zawsze i wszędzie musi jej podlegać. Można zmienić zalesienie Karpát, zasypać czyli zlikwidować jezioro Gopło całkowicie, albo zmodyfikować bieg rzeki Warty, ale nie można zmienić biegu Kiełczyca naokoło Siołca, zlikwidować pór roku albo zmodyfikować układu gwiazd. Nad przyrodą człowiek panuje, naturze człowiek podlega. Wykrwawa prawa natury po to, ażeby za ich pomocą móc panować nad przyrodą i nad samym sobą, jako tworem przyrody. To coś, co jest w przyrodzie, w rzeczach i w człowieku stałe, niezmiennalne i niezmiennalne, to właśnie jest natura.

Mówi się np. o naturze boskiej, ludzkiej lub wilczej, nikt natomiast nie nazywa nigdy przyrody boską, ludzką lub wilczą. Miczurin może działać z powodzeniem w dziedzinie przyrody, nikt natomiast nie słyszał i nie usłyszy nigdy o Miczurinie natury! J. S. Bach mówił w znanym wierszu K.

I. Gałczyńskiego o zwykłym ptaku, kosie:  
„Jemu wiele zawdzięczam, No i wielkim chmurom. I wielkim rzekom. I piersiom twoim Natury”.

A sztuka, jak wiadomo, jak i cała w ogóle kultura ludzka jest czymś przeciwstawnym przyrodzie. Sztuka wychodzi z tych samych, co i przyroda, praw natury, przeciwstawia się przyrodzie, jej pozornemu chaosowi swoim nieporozumiałym, Dlatego starożytni nazwali sztukę naśladowaniem natury, ale to wcale nie znaczy, że przyroda. Tzw. naturalizm w sztuce, to właśnie wulgarnie opisywanie przyrody czyli zewnętrznych przejawów natury. Za sztuką w istocie tego słowa znaczeniu odkrywa głębsze prawa natury pod zewnętrzna powłoka fenomenów przyrody. Najlepiej określił to Conrad. Według niego sztuka „to usiłowanie, aby wykręć zmienności i w przejawach życia (czyli w przyrodzie) to, co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze, rdzeń wszelkich zjawisk”. Czyli ich naturę. Natura tedy jest wewnętrzna istota rzeczy, jest jakby duszą przyrody. Jeśli przyrodą nazwiemy wszystko to, co egzystuje, czyli egzystencję, to natura jest właśnie esencją, a esencja to istota rzeczy. Nie darmo w staropolskiej tradycji łacińskiego słowa „natura” wyrażano przez jakże piękne i trafne, dziś już niestety, nie używane, swojskie słowo „istnia”. Krasziński w jednym ze swoich utworów mówi: „Roślina istnia grzyba”.

Ale, zaiste, wszystkie te powyższe refleksje przychodziły mi do głowy podczas lektury książek, których tytuły ku pożytkowi czytelników wymienię. Ale, wice pierwsza z nich, to niezwykle barwny reportaż francuskiego podróżnika, Jacques’a Chęgaraya, z jego wycieczki na wysep hawajskie nt. „Hawaje”. We francuskim ten tytuł brzmi bardziej poezyjnie „Hawaje, iles de rêve” czyli „Hawaje, wyspy z marzenia”. Co stanowi o uroku i czarach tych wysp? Ich przyroda. Bezpośrednio z Hawaj przynosiłem sie z Himalajów. Mianowicie przeczytałem książkę, wydaną w tym samym cyklu, co i poprzednia, i przez to samo Państwowe Wydawnictwo „Iskry” pt. „Annapurna”. Napisał ją

również Francuz, Maurice Herzog, zdobywca jednego z najtrudniejszych szczytów himalajskich, właśnie tej Annapurny, która omal nie przyprowadziła go o śmierć. Ta książka to przykład, ile trudu kosztuje wydzieranie naturze jej tajemnic.

Obie powyższe książki, doskonale napisane, obficie ilustrowane, nasunęły mi liczne refleksje na temat różnicy między stosunkowo łatwą do opanowania przyrodą a niezwykle trudną do rozszyfrowania naturą.

Lecz największą pobudką do rozmyślań na ten temat była mi, przynamn sie, książka Andrzeja Wałickiego „Osobowość a historia”, wydana przez PIW pod egidą Polskiej Akademii Nauk. Jest to praca naukowa, nieco trudna w lekturze, wymagająca pewnego odczytania, ale za to bardzo bogata w odkrywcze myśli i spostrzeżenia, dotyczące natury człowieka czyli jego osobowości i natury czynów ludzkich czyli historii. Dopiero ta książka zamknęła soba jak kłammera moje refleksje na temat człowieka i jego stosunku do natury i roli w przyrodzie.



EDWARD ETLER



## Bal w Pacyfiku

Wchodzi się tu jak do restauracji dworcowej — po wykupieniu peronówki. Bilet kosztuje pięć złotych — artyści mogą urzędować bezpłatnie. A'le jak tu odróżnić artystów?

Pan W. jest na przykład artystą przy bucie. Mimo to płaci.

Dobrze po północy muzykanci pakują instrumenty i opuszczają estradę. Do fortepianu zasiada wtedy znany i lubiany tancerz stepista, targany niekiedy za ramiona przez niemuzykalne kierownictwo loka'u. Płyną tony nastrojowych melodii — plynie alkohol — odpływają pierwszy rozbitkowie. Wszystko płynie, stąd się zapewne bierze pieszczotliwa nazwa przybytku, popularna między bywalcami: Pacyfik.

Każde miasto ma Spatif na swoją miarę. Pacyfik nie przypomina warszawskiego. Nie jest wytworny, nie bywa w nim Małcużyński. Nie przypomina także Spatifu sopockiego, który jest tylko kawiarnią, ze względu na wąskie i strome schodki. Pacyfik jest uniwersalny. Zarówno jako Mekka posmutniałych wieczorami artystów, oaza zamieszanych przybyśców, spod znaku błękitnej muzy, jako też schronienie kilku muz niedalekiej „Casanowy”, zaklimatyzowanych tu od pewnego czasu na stałe. Ale Pacyfik słynie nie dzięki rzeczonemu wyżej uniwersalizmowi — lecz dzięki ekskluzywności. Przede wszystkim jako miejsce, gdzie bywa elita miasta, gdzie panowie właściciele

niedożnych komisów podska-kują na parkiecie obok kierownika z MHD i śpiewają „Kuba wyspa jak wulkan gorąca”, akcentując następującą po tym orzeczeniu samogłoską.

Niekiedy elita wali się po głowach karafkami i drze na sobie marynarki z wiśniowej wełny. Ostatnio coraz rzadziej. No cóż, kani-kuła.

Ktoś mi się żalił, że mu w Spatifie nudno. Przyznał się — wzięty w ogień krzyżowych pytań. Przyszedł wcześniej i wyszedł grubo przed północą. Nie doczekał zatem stopienia pierwszych lodów, nie dotrwał do balu rodzinnego. Gdzież takim wyrokować o wdzięku i urodzie lokalu!

W Pacyfiku bal zaczyna się nocą, gdy szcęk pakowanych instrumentów wypłoszy przypadkowych gości. Tu i ówdzie przy stoliku rozbrzmiewa i cichnie piosenka, kelnerzy — osowiali uprzednio — związują się dziarsko, poganiani po imieniu. Ktoś dojrzał spadnie z wysokości stołka i przyjaciele odno-śają go do przezornie czekają-

cej przed drzwiami taksów-ki. Przy koncertowym fortepianie zasiada lubiany tan-cerz, proszę państwa, zapraszamy do rumbly!

W takiej atmosferze samot-na kobieta natychmiast znaj-dzi opiekuna.

Zdarza się, że kilka osób zaśnie, starszka pod WC, aktor z głową opartą na bar-ze albo reżyser, który zbyt protekcyjnie poklepany po plecach wpadł pod stolik i już stamtąd nie wyszedł.

Na parkiecie wodzowie i-ncjatywy szarpia sennymi partnerkami i zmuszają je do wymyślnych harców. Pan-owie zdjęli marynarki, ma-ją twarze czerwone z emocji i bojowo wystawione łokcie. Jeśli się komuś życie sprzy-krzyło, to niech przeszkodzi takim w jego starannym pa-!

To też człowiek kulturalny lub obdarzony wyobraźnią, wo'j wiedzy schronić się w byle kącie i podziwiać. Bo i jest co oglądać — Pacyfik poddaje się nierealnej i wręcz niepokojącej metamor-fozie.

Pojawiają się nowi goście: przychodzą dobre, pracow-

te duszki i zacierają palmy na obrusach, skrzyty prze-bierają braci kelnerską w czyste chalaciska, a latawce z bibułki, zapomniane od Syl-westrowych uciech — ro-bią wrażenie szlachetnych witraży, uwitych pod sufi-tem przez utalentowanego krasnoludka.

Kraina czarów! Kelner po-proszony o wódkę przynosi wodę z saturatora, a duży-grubas czuje się habilitowa-ny mówić do ciebie po imie-niu. Za bufetem zupełnie no-wie twarze, syczy ekspres, fruują serwetki. Wszystkie kobiety są piękne — najlad-

niejszą wyniósł ktoś razem z krzesłem i powędrował w świat.

Przysagają lampiony, za-mykamy. Kończy się bajka — zaczynają się targi. Pani kochana! Jeszcze piętnaście minut! Z szatni wypelza ktoś rozgoryczony — zamie-niono mi piasecz. Krasnolud-ków już nie ma — uciekli, pojawiła się wzamian mili-cja.

Na pobojuwisku zostają ludzie zbrojni w kije, wiadra i szmaty. Trzeba pozierać skorupy, wynieść kogoś za-pomnianego, zamieść.

Przecież jutro bal!



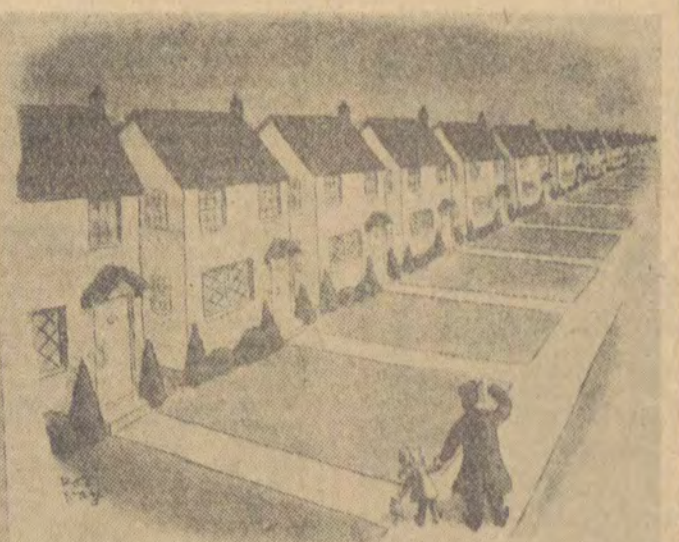
# ROBERT DAY

Dwóch jest „Dejów” — humorystów, obaj Ameryka-ńskie: Chon Day i Robert Day. Nie są braćmi, nie mają ze sobą nic wspólnego, poza współpracą z tym samym pi-smem: „New Yorkerem”. Chon, z usposobienia domator — rysuje przeważnie dowcipy z życia małżeńskiego, bohaterami jego są naiw-ne, bezdennie głupie panu-sie, Robert (podpisujący się w skrócie — Robt), którego właśnie przedstawiamy — stanowi w pewnym sensie antytezę swego imfennika.

Oto humorysta, dla którego pożywką jest współczes-ność, Rakiety, przemysł re-klamowy, skoszarowane ży-

cie, coraz bardziej kastyowy podział społeczeństwa ame-rykańskiego — to właśnie realia i problemy, które znaj-dziemy w każdym rysunku Roberta.

Ma on do amerykańskiej rzeczywistości stosunek za-ledwie leciutko kpiący, nie dość zgryźliwy i sceptyczny, by zasłużył na miano satyry-ka. Robert Day należy jed-nak do naprawdę niezliczonych humorystów w USA — któ-rzy konsekwentnie i z powo-dzeniem podejmują sprawy współczesności. I choć Day czyni tak przede wszystkim dla żartu — to jakiś wtórny obraz dzisiejszego świata zostaje w tych rysunkach za-chowany.



„Gdzie jest mój dom?...”



— Pozwolimy mu chyba powtórzyć uderzenie?



— Wszędzie chulianie...

Lódzki  
**BIGOS HISTORYCZNY**  
CZYLI  
CO BYŁO, A NIE JEST,  
PISZEMY W REJESTR

(„Kurier Łódzki — Dziennik polityczny, społeczny i lite-racki, rok 1911-m-ce I—III, nry 1—20)

REDAKTORZY W ŁOWICZU

Właściciel drukarni łowic-kiej p. K. Rybacki, wystąpił — z projektem wydawania w Łowiczu pisma. Odbyło się zebranie 25-rublowych udzia-łowców, lecz projekt nie dał się urzeczywistnić, oto gdy weszła sprawa wyboru przy-śległego redaktora, wyłonilo się aż 6 kandydatów, przy-

czem każda grupa tak forsow-nie popierała swego kandy-data, że o żadnym innym słyszeć nie chciała. W ten sposób pismo upadło.

Podobno inicjator przystą-pił do wyjednania koncesji tylko na swoje nazwisko i zamierza wydać pismo na własne ryzyko...

CZYTELNIKOM KURJERA...

„Panna do wszystkiego”... humor tej sztuki i znakomita dowcipna gra wykonaw-ców dają zupełną rękomię, iż przedstawienie to (trzy-na-

ste z rządu w Teatrze Popu-larnym Sellina) prenumera-torzy „Kurjera Łódzkiego” wypełnią do ostatniego miejsca. Bilety po niższej cenie.

PREZYDENT SIĘ NARADZI

Prezydent miasta naradza się obecnie z radnymi co ma czynić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa prezy-dent wyśle do inż. Lindleya, który obecnie bawi w Baku,

jednego z urzędników, ażeby ostatecznie porozumiał się z p. Lindleyem, naturalnie, przywiózł plany o ile są już gotowe dla wodociągów i ka-nalizacji...

JA HENRYK HENDRYKOWSKI...

Lekcji najnowszych TAN-CÓW udziela zn. dyplomow. nauczyciel H. Hendrykowski ulica Południowa 15. Rozpo-cynamy nowy KURS tańców i podejmuję się każdego, bez względu na zdolność — w przeciągu jednego miesiąca

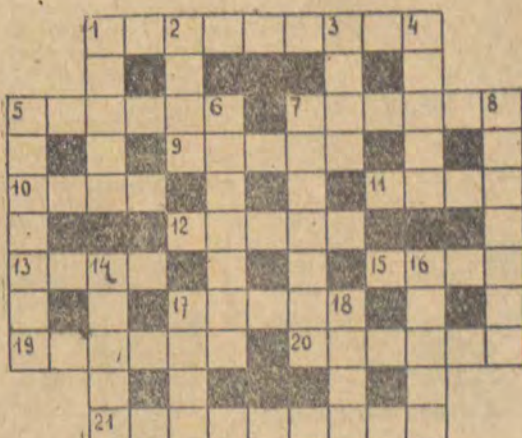
wyuczyć wszystkich najnow-szych i starych tańców. U-dziela także lekcji tańców w Zakładach Naukowych i w Stowarzyszeniach. W nie-dziele tańce zbiorowe od 3pp do 12 wieczór...

ODCZYTY „WIEDZY”

Tow. „Wiedza” urządza w niedzielę 22 stycznia odczyt dla dorosłych pt. „O Maryi Konopnickiej”, który wygło-si znana publiczności prele-

gentka F. Rudnicka, w sali jadalnej fabryki Geyera (Piotrkowska 289) Wejście 5 kop., a dla członków Tow. „Wiedza” bezpłatnie.

## NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

- Poziomo: — 1) Szermierka, 3) Damski piaseczek z peleryna, 7) Ciało niebieskie 8) Metal z grupy platynowców, 10) Roslina aromatyczna o żółtych kwiatach, 11) Karta, 12) Naczynie do wody so-dowej, 13) Prawy dopływ Narwi, wypływa z jeziora Roś, 18) Piaski północne, 17) Cienka blacha z cyny, aluminium, brązu o grubości 0,1 mm, 19) Kamień szlachetny 20) Polewa 21) Kaprys.
- Pionowo: — 1) Dorsz bez ości, 2) Wyspa we wschodniej części Morza Śródziemnego, 3) Gaz szlachetny, 4) Biała skała wapienna 5) W młotach górskiej bóg płodności i świata podziemnego 6) Siedzia wojskowy, 7) Jemiejscy Ostiacy, 8) Przeciwi-

stwo syntety 14) Poeta polski, 16) Kwiat, 17) Ziarnista masa śnieżna, przekształconiana w lód, 18) Bózek miłości.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki

Poziomo — mucha, anoma; Amfitryta, Tag, Leon, ryza, Eos, pies, lord, len, Tymoteusz, nu-gat, banal.

Pionowo — motyl, humanisty-ka naturalista, ameba, Wit erz, taboret, polon, ideal, lok, Ner.

Nagrody książkowe za rozwią-zanie krzyżówki wlosowali: 1. Julian Bartnicki, Łódź, ul. Komfortowa 2, blok 28, m. 17. 2. Henryk Śródka, Łódź, ul. Skalna 28, m. 1.

Redaguje Zespół o Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” o Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 26. Tel. 244-78. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamawia żadnych reklam, nie zwraca o Prenu-meracie przyjmują wszystkie ogłoszenia pocztowe, listonosza oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosz.” o Druki: RSW Prasa — Łódź, Zwirki 17. o Zam. 2222, VII. 60. R-5



# „KRZYŻACY”

## Pierwsze wrażenia



Zbyszko na Wawelu



Danusia



Pobojowisko



Walczy Zawisza Czarny

Za wcześnie jeszcze na analizę filmu Aleksandra Forda, Jerzego Stawińskiego i Mieczysława Jahody. Miało by się to z celem: film wchodzi do normalnego rozpowszechniania dopiero we wrześniu. Ponadto nie należy do dobrych obyczajów wyprzedzanie oceną dzieła, które na razie nie może się bronić. Pozostawmy więc na razie przy tych luźnych uwagach.

Wszystkie zalety sfilmowanych „Krzyżaków” miały punkt wyjścia już w scenariuszu. To chyba jedna z najbardziej udanych adaptacji dzieła literackiego, jaka powstała w naszym kraju. Tym trudniejsza do zrealizowania, że opiera się na książce powszechnie znanej i lubianej.

A przede wszystkim — powieść Sienkiewicza jest obszerna, wielowątkowa i wielopostaciowa. Nawet dwuseryjny, trzygodzinny film — nie jest w stanie przekazać całego bogactwa zdarzeń i obserwacji pierwowzoru. Dodajmy, że w sienkiewiczowskiej wersji dominuje akcja, opisów nie jest zbyt dużo (aż realizatorzy dla zdokumentowania — już roboczo — niektórych postaci i miejsc musieli sięgnąć do opisów z „Krzyżaków” Kraszewskiego).



Władysław Jagiełło przed wielką bitwą

### Zanim Zbyszko przemówił...

Kiedy w lutym ubiegłego roku powzięto decyzję ekranizacji „Krzyżaków”, w środowisku filmowym przeważały nastroje sceptyczne. Uważano, że naszej kinematografii nie stać na tak trudne przedsięwzięcie inscenizacyjne, a ostatecznie przewidywano zablokowanie produkcji innych filmów... A kiedy jeszcze postanowiony został termin premiery pierwszej serii na 22 lipca 1960 — posyłać tylko wzruszali ramionami: przecież jeszcze nie ma nawet scenariusza!

Do czerwca scenariusz był gotów, równocześnie powołany z miejsca sztab współpracowników przeprowadzał szereg prac dokumentacyjnych, zaczęto projektować dekoracje i kostiumy, szukano obsady aktorskiej. Po krótkim, zaledwie dwumiesięcznym okresie bezpośrednich przygotowań do zdjęć — rozpoczęto w początkiem sierpnia 1959 r. kręcenie scen bitwy grunwaldzkiej — pod Stargardem, Całość plenerów letnich ukończono w listopadzie, potem przysłała kolej na zdjęcia wnętrz, w łódzkim atelier czekały już zbudowane dekoracje. W lutym ekipa przerwała prace atelierową, by zrealizować sceny w piernie zimowym, a w końcu marca zakończono ostatecznie okres zdjęciowy.

Obie serie filmu nakręcono zatem w ciągu zaledwie 8 miesięcy kalendarzowych. Duży sukces produkcyjny!

Ogółem przy realizacji pracowało ok. 1000 osób. Lista aktorów — wyłącznie pierwszoplanowych ról — obejmuje 62 nazwiska, a ileż ponadto wystąpiło w epizodach... Popularne stało się wśród aktorów już nie tylko Łódź i Warszawa, żartobliwe pytanie: — Co, ty jeszcze nie grałeś w „Krzyżakach”? Niemożliwe!

Najwięcej kłopotów sprawiało oczywiście kręcenie bitwy grunwaldzkiej. Na pewno łatwiej jest filmować batalię w „współczesnej”, gdzie wszystko jest w rękach techników, gdzie rzecz się sprowadza do nieszkodliwych (na ogół dymów i ogni sztucznych). Co innego, gdy się ma do czynienia z walką wręcz i... omyślnymi ogierami z Państwowej Stadniny pod Stargardem... Koniarka okazała się jednak posłuszną scenopisowi: filmowej bitwy, a także nie naraziły zbyt wiele zdrowia aktorów.

Walka wręcz — rzecz nieba-

gatelna, choć topory były z guntury. Ale walczyć trzeba w zbrojach! W żelazie — niemożliwe dla cherlawej raczej postawy współczesnych, w tekturze — kamera natychmiast wykryje. I w tym wypadku zbawieniem okazał się plastik, lekki i wytrzymały.

Kolor, panorama, wielkie dekoracje, kostiumy z mało przeciętnej znanej epoki, masowe sceny — czyż trzeba jeszcze wyliczać trudności, które miała do pokonania ekipa?

Tylko dzięki rzetelnemu entuzjazmowi mogli temu sprostać wszyscy — począwszy od goniów i szwaczek, reperujących po nocach zniszczone kostiumy aktorów — aż po rozrywanych pytaniami i interwencjami „trójce realizatorskiej”: reżysera, operatora, kierownika produkcji.

Wydano na film 32 miliony złotych. „Oplaciło się” — jak słusznie stwierdził w „Życiu Warszawy” Stanisław Grzelecki.

## PO PREMIERZE

Bardzo się zdarza, że po skończonej projekcji nikt nie wstaje z miejsca, nie spieszy się do wyjścia — nastaje cisza bez charakterystycznego gwaru rozmów i komentarzy. Kiedy na ekranie olsztyńskiego kina „Polonia” wygłosił napis „Koniec” — taki właśnie nastrój panował przez chwilę na sali. Dopiero póź-

we wrześniu. Tymczasem zaś — niech się wypowiedzą pierwsi widzowie „Krzyżaków”.

Irena Kowalska, pracownik umysłowy:

— Najlepsze dzieło reżysera Forda — i chyba najlepszy polski film. Spośród aktorów najbardziej podobały się role Zbyszka i Maćka (Aleksander Fogiel). Jedyny zawód



Jurand nad zwłokami żony

niej rozległy się gromkie długie niemilkające oklaski.

Taka reakcja jest chyba najlepsza sprawdzianem, że film wywarł głębokie wrażenie.

Reżyser Ford i przybyli na premierę aktorzy „Krzyżaków” — zostali od razu otoczeni przez publiczność. Szczególnie żywo komentowali film licznie przybyli działacze polni zagranicznej.

A my — zostawiliśmy na razie twórców w spokoju, na to będzie czas jeszcze przy okazji „normalnej” premiery

— nieważny zresztą przy innych osiągnięciach — sprawia postać Jagienki, pokazana w bardzo skróto. W powieści była ona ciekawsza:

M. K. działacz polni amerykańskiej:

Mój panie, jestem stary koń, przybywam w kraju kilkanaście dni — i niełatwo już mi zaskoczyć, niełatwo wzruszyć. Ale dziś nieustannie coś małe ścisnęło za gardło, musiałem tłumić łzy. Trudno sobie nawet wyobrazić — co się będzie działo, gdy pokażecie ten film polni zagranicznej...

Scenariusz: Jerzy Stawiński i Aleksander Ford. Reżyseria: ALEXANDER FORD. Zdjęcia: Mieczysław Jahoda. Kierownik produkcji: Zygmunt Król. Scenografia: Roman Mann. Kostiumy: Michelle i Lech Zahorscy. Muzyka: Kazimierz Serocki. OBSADA: Zbyszko — Mieczysław Kalenik. Danusia: — Grażyna Staniszevska, Jagienka — Urszula Modrzyńska, Maćko — Al. Fogiel, Jurand — T. Białoszczyński, Jagiełło — E. Karewicz, von Jungingen — S. Jaskiewicz, De Loewe — H. Borowski i inni.

„KRZYŻACY”

„KRZYŻACY”